

Cena 20 zł.

KUZNICA

Rok III Łódź, 8 grudnia 1947 r. Nr 49 (118)
TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ADOLF RUDNICKI

UCIECZKA Z JASNEJ POLANY

Kto konał za to, czym był,
 Lub za to, czym być marzył
 Mieczysław Jastrun —
 List w przestrzeń



dwa lata po ostatniej wojnie w miesiącu lipcu 1944... przez pewien krótki czas „oczy Europy” a nawet „oczy świata” zwrócone były na miasto Z. w Szwajcarii, gdzie odbywał się kongres PEN-klubu. Główną atrakcją zjazdu byli Niemcy. Ciekawość wszystkich, jak się zachowają, co powiedzą na usprawiedliwienie swego narodu, sprawy rzedawnych rzezi, jeszcze — rzecz można — dymiących, jeszcze gorących, największych, jakie zna historia. Egzekutywa kongresu była oczywiście natury wyłącznie moralnej, nie był to monachijski trybunał, rozporządzający całym uzbrojeniem kuli ziemskiej, ale chodziło właśnie o „słowo sumienia świata”, to raz. Po drugie, chodziło o rzecz bardzo konkretną, czy kongres wyrazi zgodę na przyjęcie Niemców do swego grona i w jakiej się to formie i atmosferze odbędzie. Dramatyczność tej sprawy podniosła jeszcze wiadomość, iż na kongres zapowiedział się Klaus Hofer, wielki prokurator narodu niemieckiego, od lat miotający najcięższe oskarżenia pod jego adresem, sam również Niemiec.

Musieliśmy poświęcić wiele miejsca, chcąc wymienić same choćby tytuły książek, które ustaliły rozgłos Hofera w świecie. Jak w suto zopatrzoną magazynie — właśnie do suto zopatrzonego magazynu winien być podobny dorobek pisarza — każdy w Hoferze mógł coś znaleźć dla siebie. Jeśli komuś nie odpowiadały jego duże powieści, mógł sięgnąć do nowel — istnych pereł. Jeśli ktoś nie miał przekonania do tych drobnych rzeczy, utkanych z poezji, mądrości i wyrafinowania, mógł się zanurzyć w ciężkich rozprawach filozoficzno-społecznych, pisanych z naukową gruntownością. Klaus Hofer nie lubił co prawda, gdy podkreślano wagę jednych pism kosztem drugich, wymagał aby dzieło jego traktowano jako jeden wielki fresk, ale jest to stara choroba pisarzy, którzy zawsze twierdzą, iż przez całe życie piszą jedną książkę.

Hofer, który dzisiaj przekroczył sześćdziesiątkę, pochodził ze starego, zamożnego mieszczaństwa w tej generacji, gdy ono zaczyna się już rozkładać. Od rozkładu uratowała Hofera sztuka, którą od lat najmłodszych uprawiał z pasją. Był to pisarz o rozległej skali zainteresowań. Słyszał szum morza historii Niemiec, ale słyszał również poruszenia małych serc, zagubionych gdzieś na peryferiach życia. Zawsze miał ucho dla spraw społecznych, choć głupecy i gburzy, którzy przypuszczają, iż myśli związane są z miejscem, przez długi czas pogardliwie nazywali go „gabinetowym myślicielem”. Po drugiej wojnie światowej, a nawet podczas jej trwania, niektórzy krytycy zastanawiali się nad pewnym fenomenem: elementy germańsko-pruskie w życiu niemieckim obnażył Hofer już we własnej swojej twórczości. Czemu więc — zapytywali krytycy — w latach 1914-18 podczas pierwszej wojny, Hofer wraz z innymi wołał: „Deutschland! Das Deutsche Volk! widząc w niemieckim narodzie najlepszy na świecie? Czy Hofer nie wejrzał

w siebie? Nie rozumiał wymowy swego dzieła? Tak, odpowiadali mądrzy krytycy, właśnie tak! Syn mieszczaństwa towarzyszył swej klasie w jej nie całkiem jasnej jeszcze drodze. Syn mieszczaństwa rozumiał tyle, ile jego klasa, ani mniej ani więcej. Realista odtwarzał wiernie to, co widział, ale nie znał i nie mógł znać ostatnich stacyj. Hofer, jak każdy młody twórca, w okresie pierwszej wojny nie umiał jeszcze wyciągnąć wniosków. Przejrzał dopiero w latach 1918-1933, będąc codziennym świadkiem krwawych walk „brunatnych batalionów” z „czerwonym frontem”. Nie dał temu wyrazu w swej sztuce, którą trzymał z daleka od podobnych tematów, ale wypowiadał się jasno w publicystyce.

Wzruszające są wyznania Hofera z tego okresu. Goebbels pisał, że obie ostatnie wojny 1914-1918 i 1939-1945 należy traktować jako jedną nieprzerwaną wojnę trzydziestoletnią. Istotnie, na terenie Niemiec nie doznała ona przerwy, krew lała się codziennie. Ulicami maszerowały brunatne bataliony, uszczelnione jak gdyby przez Wagnera. Każdy Niemiec kocha Wagnera, łatwo sobie wyobrazić, jak kochał go Hofer „suma wszystkich Niemców”. Ulicami maszerowały również oddziały „Rotfrontu”. I te były jakby z Wagnera, ale z jakiegoś nieśmiałego Wagnera, z Wagnera dla ubogich. Hofer ze zdumieniem pochylił pewne spostrzeżenie: element społeczny w jednych i w drugich oddziałach był dosyć podobny, ale podczas gdy w brunatnych batalionach widziało się nie twarze, lecz maski, oddziały czerwone „zachowały twarz”. Odkrycie to nie miało zdziwić Hofera, w którym Niemiec sprzyjał oczywiście lepszemu Wagnerowi, zaś człowiek — czerwonym oddziałom. Wiadomo jednak, jak słaby w człowieku jest człowiek, przy tym Hofer z natury był łagodny, kompromisowy, stworzony do reprezentacji, a nie do barykad. Długo też nie mógł się zdecydować, nie chciał się mieszać, marzył o ucieczce w „machtgeschutzen Innerlichkeit”. Ciągle był niezdecydowany, gdy pewnego dnia stwierdził, że jego niezdecydowanie w ogóle nie przenika na zewnątrz, na zewnątrz wszyscy uważali go za bezwzględniego sojusznika czerwonych. Przestraszył się tego odkrycia, ale odtąd wspomagał „Rotfront” jawnie i z dużo większą siłą. Po dojściu hitlerowców do władzy cudem udało mu się zbiec. — Gdybym był zwlekał jeszcze dzień, nie byłoby mnie wśród żyjących — powiedział w pierwszym wywiadzie dziennikarzowi szwajcarskiemu. Nie ulega wątpliwości, że Goebbels z przyjemnością byłby go powiesił.

Hofer nie zabawił wtedy długo w Szwajcarii i we Francji. Zgodził się objąć katedrę i wyjechał do Stanów Zjednoczonych, przerażony, jak mówił, głuchotą Europy. Pisał potem: Słuchano nas, ale gdyśmy przestali opowiadać, na twarzach słuchających w miejsce dopiero co okazanego nam współczucia, dostrzegaliśmy obojętność. Gdyśmy tylko przestali mówić, zapominali o czym opowiadaliśmy. A przecież mówiliśmy o porażce, który wkrótce miał ogarnąć ich ziemie. Nie przejmowali się. Nie sądzili, iż przesadzamy, mieli zaufanie do naszych słów. Nic nie myśleli, w każdym razie nie czynili. Beznadziejność sytuacji niemieckich emigrantów leżała nie w tym, że potracili rodzinę i ojczyznę, lecz w tym, że byli samotni w swej świadomości co do losu, jaki jutro zwali się na tych ludzi głuchych i ślepych, którym jakby ręce ucięto. Nie wiadomo było co robić, jak mówić.

Jeśli ludzkość nie włączy wielkich kombinatów śmierci i pieców krematoryjnych do rejestru swych stałych zdobyczy, z których wolno korzystać — co jeszcze nie wiadomo — lata 1939-45 i postacie hitlerowców na długo pozostaną w pamięci ludzkości jako te, które w zbrodni zaszyły najdalej. Gdy wybuchła wojna, Klaus Hofer podjął się nowego zadania. Otworzył oczy własnemu narodowi na to co czyni, odsłonił przed nim rozmiary zbrodni i wołał o opamiętanie się, jeśli nie chce być zmiażdżony przez gniew świata. Przez morza i oceany Hofer zaklinał, groził i prosił. Podnosił odpowiedzialność każdego czło-

wieka w Niemczech, zwracał uwagę na ogromną siłę, jaką przedstawia jednostka, wbrew temu co się jej wydaje. „Nie ma ważniejszego zadania w tej chwili nad to, aby każdy Niemiec zrozumiał jak wielką siłę reprezentuje”. Wołał o odrodzenie godności ludzkiej. Powtarzał właściwie ciągle to samo, tak, że zupełnie przestał zadawać smakoszów intelektualnych. W okresie największych triumfów oręza niemieckiego Goebbels kazał zebrać młodzież i wythumaczyć jej, kim jest „der Schriftsteller” Klaus Hofer, „człowiek, którego bolą niemieckie zwycięstwa, zwycięstwa waszych ojców i braci”. Nie tylko w Niemczech w ten sposób oceniano działalność Hofera: Ludzi małego ducha nigdzie nie brak, świat wypełniony jest ludźmi idącymi donikąd, łatwo im więc zawrócić z drogi. Wśród niemieckich emigrantów w Ameryce znajdowało się wielu takich, którzy wyjechali jako antyhitlerowcy, ale zwycięstwa w okresie 1939-42 uprzytomniły im, że są Niemcami, a zwycięstwa Wehrmachtu zwycięstwami Niemiec. Pomiedzy sobą zaczęli mówić o Hoferze jako o zdrajcy. Gdy wiadomości te doszły do Hofera, przyjął je jako naturalne i nadal robił swoje.

Jak z jednej strony uprzytamniał swemu narodowi co ten wyrabia, tak z drugiej tłumaczył światu „niemieckiego człowieka”, „porządne, dobruśnego Niemca”, „malarza czy aktora, robotnika czy urzędnika, który na Wschodzie zmienia się w bestię. Trzask palonych kości i lament ginących towarzyszył przemówieniom Hofera. Toteż wszędzie, gdzie dochodziły — wstrząsały.

Już nikt nie myślał o Hoferze tylko jako o pisarzu. Mówiono o nim jako o „sumieniu swego narodu”, „sumieniu epoki”. Stał w Nowym Yorku przed mikrofonem i prawował się o duszę swego dalekiego narodu: Macie ją, wołał, więc okażcie ją nie jutro, lecz dzisiaj. Dzień dzisiejszy jest dniem próby, nie przesłanie go. Poczucie dyscypliny nie pozwala wam zejść z drogi, ale pamiętajcie, że jest to droga w przepaść. Zbudźcie się! „Deutschland erwache!” Wewnętrzny ogień rozżarzał słowa Hofera. W wypieszczonym nobliwym starszym panu obudziło się coś z proroków Starożytności. Starzec nie podsuwał jednak narodowi treści staro-testamentowych. Podsuwał mu dwa proste słowa: człowiek i obywatel i kazał się zastanowić co one znaczą. „Wszystko co żyje na ziemi — mówi — ma prawo do życia, z wyjątkiem tych, którzy nie podzielają tego zdania”. Pewnego dnia oświadczył, iż wstydy się być Niemcem i nazwał siebie „obywatelem świata”, „pierwszym obywatelem świata”.

Gniew narodów ścisnął i powalił Niemcy, których przywódców wołających do niedawna, iż wycieczają granice na tysiąc lat naprzód, osądono i powieszono. Kraj stał znów otworem dla tych, którzy wczoraj musieli z niego uchodzić. Emigranci z czterech stron świata mogli powrócić, była to tylko sprawa ich dobrej woli. I emigranci wracali, wracali nawet ci, którzy Hofera niedawno temu nazywali zdrajcą. Jednakże sam Hofer siedział nadal w Stanach Zjednoczonych. Czekał. Przysłuchiwał się pilnie wszystkiemu, co dzieje się w Niemczech. Dzisiaj znane jest jego kwietniowe przemówienie, nadane przez nowojorskie radio: Nie, powiedział, nie wróć. Naród niemiecki sto razy na dzień składa dowody, iż nie poświeca ani jednej myśli popelnionym zbrodniom. Jedyną zbrodnią, do której się przyznaje, to klęska wojenna. Nie poświęcając ani jednej myśli temu co popelnili wczoraj, dyszą znów żądzą odwetu. Nie o odrodzeniu, lecz o nowej wojnie myślą Niemcy. „Wróć — i co? I zamieszkać pod osłoną alianckich bagnatów, otoczony narodem, ślepym z nienawiści. W jakimże świecie nurzała się kiedyś dusza moja, wyobrażając sobie dzień powrotu — najpiękniejszy z doczesnych snów. Z jakimże świętem w duszy przekroczyłbym granicę, gdyby naród mój sam, sam w małym bodaj stopniu był się przychylny do zrzucenia jarzma, gdyby był najmniejsze bodaj świadectwo złożył, iż wolność jest mu droga. Niestety... Rozdarcie pomiędzy Hoferem a jego narodem wyglądało na ostateczne. Te skłócenie, zdawało się, przejdzie poza grób.

„Świat pracy, a szczególnie świat pracy najemnej, jest tym czynnikiem społecznym, który przez walkę swoją ze światem wielkich posiadaczy wnosi do życia społecznego twórcze pierwiastki postępu”.

Władysław Gomółka (Wiesław)

TREŚĆ NUMERU:

- ADOLF RUDNICKI
UCIECZKA Z JASNEJ POLANY
- STEFAN ŻÓŁKIEWSKI —
AKTUALNA PROBLEMATYKA
LITERATURY WSPÓŁCZESNEJ
- PAWEŁ HERTZ —
RZEKI
- RYSZARD MATUSZEWSKI
TRZECI SEJM LITERACKI
- LEON GOMOLICKI —
DRÓGA DO ROSJI (III)
- KAZIMIERZ BRANDYS —
OPOWIADANIA
BEHAVIOURYSTY
- BOLESŁAW DUDZIŃSKI —
SAM NA SAM Z PRZYRODĄ
- TADEUSZ DREWŃOWSKI —
OPOWIADANIA O ZWYCIĘSTWIE
- PAWEŁ ETTINGER —
ALEKSANDER RADYSZCZEW
- KAZIMIERZ BUDZYK —
CENNA PRACA
JĘZYKOZNAWCZA
- PRZEGLĄD PRASY
- KORESPONDENCJA
- NOTY

Toteż nie dziwnego, iż wiadomość o przyjeździe starca do Europy na kongres, gdzie miała się znaleźć również delegacja niemiecka, podzielała na wyobraźnię tych wszystkich, którzy od lat śledzili niezwykle ten dramat. Czy „syn marnotrawny” szukał zgody? Czy był to początek końca? Kongres miał przynieść odpowiedź na te pytania.

Oficjalnie Klaus Hofer przybył jako delegat amerykański, od lat miał obywatelstwo USA. Naturalnie iż był osobą budzącą największe zaciekawienia. Minęły pierwsze zebrania towarzysko-poznawcze i pierwsze posiedzenia, poświęcone krótkim dyskusjom nad nieciekawymi wnioskami, które przedtem wpłynęły do komitetu organizacyjnego. Wreszcie nadszedł dzień, kiedy plenum kongresu miało się wypowiedzieć w sprawie Niemiec.

Politycy rządzą jeśli nie sumieniami pisarzy, to z pewnością ich oficjalnymi wypowiedziami na międzynarodowych zjazdach. Powiesiwszy przewodników, mentując front trzeciej wojny, w której Niemcy znów mają odegrać poważną rolę. Anglosasi chcą zapomnieć o drastycznościach wczorajszej wojny i chcą, aby również inni o nich za zapomnieli. Anglosasi ze swej strony rozgłoszyli już Niemców i żądają, aby reszta świata uczyniła to samo. Wśród ogólnego napięcia przewodniczący mr. O. postawił wniosek o przyjęcie Niemców z powrotem do Pen-klubu, z którego wykluczono ich po dojściu Hitlera do władzy. Mr. O. proponował, aby odtąd Niemcy sami decydowali, kto z nich ma prawo zasiąść w organizacji PEN. W dziedzinie moralnej był to wniosek równy wycofaniu wojsk w dziedzinie militarnej. Ale zjazd nie składał się z samych Anglososów. Sprężyny były nakręcone zawczasu i gdy Mr. O. postawił swój wniosek, Belg i Polak poprosili o głos. Wygarnęli coś niecoś z niedawnej przeszłości, wypowiedzieli się co myśla na temat samorządzących się Niemców. Po ich przemówieniach do głosu zapisany był Palestyńczyk z Ydiss-Pen-klubu. Po nim miał zabrać głos Klaus Hofer.

Palestyńczyk siedział na końcu sali tak, że musiał być przejść całą, chcąc dojść do mównicy. Był to osobnik nędzny, o długich sięgających niemal kolan, rękach, o rzadkich i wypłowiałych włosach, spod których przeświecała lysa czaszka, o ciemnej twarzy, matowych oczach z żółtymi prawie białkami. Stanąwszy na mównicy rozejrzał się w milczeniu. To przeciagające się milczenie wzmocniło ogólną uwagę. Nagle Palestyńczyk odwrócił się w stronę delegacji niemieckiej, podniósł swe długie ręce w górę, lysnął białkami oczu i z przeraźliwym krzykiem wyrzucił jedyne słowo:

— Die trrrragss!!! —

(ciąg dalszy na str. 5)

STEFAN ŻÓLKIEWSKI

Aktualna problematyka literatury współczesnej

(Tezy dyskutowane na Walnym Zjeździe Delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich)

PROBLEMY ZASADNICZE

LITERATURA społecznie użyteczna w nowoczesnym sensie — to literatura świadomie powiązana z ogólnymi wytycznymi polityki kulturalnej w kraju.

O czynnikach determinujących naszą aktualną politykę kulturalną pisano ostatnio wiele. Wystarczy zatem wyliczyć je: rewolucyjne przemiany gospodarcze i społeczne, zmiany w strukturze demograficznej: szeroki oddech Ziemi Zachodnich, zjawisko masowego dobiegania się awansu kulturalnego, ustrojowe możliwości tego awansu. Przyszłość zapowiada jeszcze spotęgowanie procesów uprzemysłowienia, a co zatem idzie w dziedzinie demograficznej procesów urbanizacji i w dziedzinie społecznej zacierania granic gospodarczych i cywilizacyjnych między wsią a miastem. Procesy te dziś zarysowują się w swojej fazie wstępnej. Uzasadnione przewidywanie każe oczekiwać ich gwałtownego i stałego wzrostu.

W polityce kulturalnej oznacza to współuczestnictwo w tworzeniu kultury mas żyjących dotychczas na peryferiach kultury narodowej. Masy te bowiem będą przenosić się do centrów kulturalnych, będzie zmniejszać się społeczna odległość centrum i peryferii, nowe siły społeczne będą przenikać i czynnie oddziaływać na instytucje dyspozycji kulturalnej. W pierwszym rzędzie na polityczne organizacje ruchów masowych, które we współczesnej strukturze społecznej zdobywają coraz wszechstronniejszy zasięg wpływów.

Główną zatem dyrektywą naszej polityki kulturalnej w najbliższym okresie winno być planowe kierowanie całego wysiłku na wyrównanie różnic między formami peryferyjnego ludowego życia kulturalnego a formami dojrzałej kultury narodowej i europejskiej. Na wypełnienie treści tej nowej kultury wartościami zaczerpniętymi z żywego źródła ruchu masowego.

Dokonać się to może na obecnym etapie w pierwszym rzędzie za pośrednictwem już dziś zorganizowanego masowego odbiorcy kultury, za pośrednictwem istniejących instytucji życia kulturalnego mas. Niestety te instytucje żyją drobnomieszczańskimi, często wręcz wstecznymi (jak np. TUL) treściami kulturalnymi, nie są bynajmniej dotąd czynnikiem rewolucji kulturalnej.

Lenin pisał:

„trzeba wychować na nowo w długiej walce... również samych proletariuszy, którzy swych własnych przesądów drobnomieszczańskich wyzbywają się nie od razu, nie cudem, nie z nakazu matki boskiej, nie z nakazu hasła, rezolucji, dekretu, lecz jedynie w długiej i ciężkiej walce masowej z masowymi wpływami drobnomieszczańskimi...”

Podstawowe zatem zadanie dla naszych pisarzy to współuczestniczyć z innymi twórcami i oświatowcami w przetworzeniu naszych instytucji życia kulturalnego mas w ośrodki rewolucji kulturalnej, masowego zaś odbiorcy zorganizowanego w partiach, samopomocy, stowarzyszeniach młodzieży i w uniwersytetach powszechnych w świadomego współtwórcę ruchu kulturalnego.

Musiąby się to stać przez związanie twórczości z potrzebami i walką mas pracujących.

Trzeba wyraźnie zastrzec, że ten program nie może wyrażać się w swoistym kapitulancie kulturalnym. Nie może polegać na ciasnym służeniu doraźnym potrzebom świetlicy czy uniwersytetu powszechnego, nie może być rezygnacją z rygorów dojrzałej sztuki i pełnej kultury, nie może być „twórczością” ad usum delphini. Idzie tu nie o kapitulancę wulgaryzującą środków działania kulturalnego, ale o zbliżenie się do mas przez wybór bliskich im problemów.

Idzie tu raczej o jasne wskazanie głównego nurtu aktualnej działalności kulturalnej poprzez rozwiązywanie zagadnień życia i kultury odbiorcy masowego już dziś zorganizowanego i wciągniętego przez to w życie kulturalne. A krąg takich odbiorców można przez wysiłek organizacyjny oświatowców poszerzyć, bodaj objąć nim całe społeczeństwo.

2. Jak pisano ostatnio, kultura da się porównać do drzewa wyrastającego z jednego pnia, którego gałęzie sięgają szeroko, daleko na wszystkie strony.

Rozwój naszej kultury jest do pomysłenia tylko w stałym związku z odziedziczoną przez nas kulturą ogólnoludzką i europejską przede wszystkim, w związku z procesami kulturalnymi całego cywilizowanego świata. Gdyż jak mówi Engels, każdy krok na drodze postępu cywilizacji jest krokiem ku wolności. Wolność jest darem czy raczej zdobyczą historii.

Lecz właśnie w historii kultury mamy okresy cofania się i okresy postępu. Obowiązkiem naszym jest wybór. Wybór i walka. Walka o zwycięstwo kultury postępowej.

W dojrzałej literaturze świata mamy dziś, z grubsza mówiąc, dwa nurty. Nurt rozpaczy i nurt ludowego optymizmu. Jak pisał o tych zjawiskach jeszcze w 1910 r. Lenin: „Rozpacz właściwa jest tym, którzy nie rozumieją przyczyn zła, nie widzą wyjścia, nie są zdolni do walki. Współczesny proletariąt przemysłowy do takich klas nie należy”.

Przeciwieństwo tych dwu postaw to stara sprawa, to też Lenin pisze o tym gdzie indziej jak historyk: „...w 1869 Herceen zrywa z anarchizmem Bakuninim, co prawda Herceen widzi jeszcze w tym zerwaniu tylko rozbieżność taktyczną, nie zaś przepaść, między światopoglądem proletariusza przekonanego o zwycięstwie swej klasy — a drobnomieszczańską, który wątpił o swym ocaleniu”.

Lecz co znaczy tu optymizm? Napewno nie jest prostszym synonimem pogody, literatury radosnej. Raczej oznacza — mówiąc francuskim terminem podsuniętym przez A. Wata — literaturę zaangażowaną, świadomie zaangażowaną na równi z innymi społecznymi siłami postępu we współczesnej walce klasowej.

Współczesna literatura rozpaczy (z egzystencjalistami czy Camusem na czele) jest mieszczańską kapitulacją wobec grozy, siły i zła imperializmu.

Lecz za tą rozpaczą drobnomieszczańską stoi celowy i świadomy wysiłek niszczytelni, czynnych i potężnych sił reakcyjnych, wrogich kulturze, wsi imperialistycznego podboju narodów, sił, które niosą ze sobą celowo rozkład kulturalny unicestwiający wolę oporu, wolę obrony narodowej i ludzkiej niezależności. Współczesna literatura ludowego optymizmu (z pisarstwem radzieckim, spiekobiercami Romain Rollanda, antyimperialistycznymi Amerykanami typu Caldwell i Steinbecka na czele) jest wyrazem woli przeobrażenia świata w duchu postępu, wyrazem zaufania do twórczych sił planującego i poznającego rozumu ludzkiego.

Mamy prawo i obowiązek wybierać między dwoma prądami w literaturze. Mamy obowiązek współżyć, współtowarzyszyć, korzystać z doświadczeń tej drugiej, zwalczać szkodliwe wpływy tej pierwszej literatury.

Nie powinniśmy się lękać naturalistycznej goryczy, zachodnich optymistów, ich bezkompromisowego demaskowania ohdy doł ludzkiej w świecie przemocy. Oni walczą dziś na wysuniętych, bezpośrednio zagrożonych pozycjach. Słowa ich mają całą surowość walki, ognia, brutalność i odwagę pierwszej linii.

3. Uwagi sformułowane w poprzednim punkcie odnoszą się mutatis mutandis i do polskiej rodzimej tradycji i współczesności kulturalnej.

Musimy sobie jednak zdawać sprawę, że ideologiczne kryterium selekcji będzie tu wzbogacone i zmodyfikowane wieloma postronnymi czynnikami, które narzucają zasadę ciągłości narodowego życia kulturalnego. Wzmiankowane kryterium musi być stosowane znacznie subtelniej. Musimy z tradycji narodowej wyłuskać nawet każdy okruszek, żywy, cenny, służący postępowi.

W tym zakresie obowiązuje nas tyleż ideowej świadomości co i pietyzmu. Ożywienie przecież zdławionego i skazanego klasowym wyrokiem na niepamięć postępowego nurtu myśli i sztuki polskiej jest dziś najpilniejszym bodaj zadaniem dla pisarzy, krytyków, badaczy literatury. Czas by narzecz w świadomości społecznej Mickie-

wicz rewolucjonista i demokrata złuzował Mickiewicza mesjanistę i towiańczyka.

4. Nie wolno nam nie doceniać — ale i nie wolno przeceniać roli tradycji literackiej. Prawdziwe nowatorstwo artystyczne — a to jest przecież przedmiotem najlepszych ambicji każdego — nie jest tylko sprawą stosunku do innych ksiązek, ale sprawą stosunku do życia, do rzeczywistości ludzkiej, społecznej.

Tradycja wiedzy o literaturze — szczególnie szkoły komparatystycznej — przeceniła czynnik tradycji literackiej. Dzieło, to nie jest zlepek motywów zawsze tych samych wędrujących przez literatury świata. Choć prawdą jest powtarzanie się skończonych ilości motywów literackich.

Motywy te nie są organizowane według paru zasad tematycznych, jak głód, miłość, zazdrość, które odzwierciedlałyby niezmienną naturę ludzką. Temat to zwierciadło zmiennej historii, a nie niezmienną naturę ludzką. Inny jest głód u Hamsuna, inny u Gorkiego. Nie decyduje bowiem o dziele dobór tradycyjnych motywów, nie decyduje rzekomo tradycyjny schemat kompozycyjny — typ zasady tematycznej. Dzieło organizuje ideologiczny osąd rzeczywistości, prawda o życiu i świecie. Dyktują słowa i obrazy konieczności społeczne, a nie formalne konieczności wewnętrznej logiki artystycznej. Sztuka jest uwarunkowana także allogenicznie nie tylko idiogeticznie.

Dorobek teorii literatury ostatniego półwiecza pozwala rozwiązać problem dynamiki literatury w rozważaniach historyczno-literackich nowego typu. Pozwala przezwyciężyć jednostronność formalizmu, błąd szukania źródeł dynamiki w morfologii dzieła, w koniecznościach strukturalnych. Nowa historia literatury przewyższa także wcześniejszy biografizm i psychologizm, ukazuje szerokie perspektywy socjalnego uwarunkowania literatury. Konsekwencją tych zdobyczy wiedzy musi być szczególnie waga jaką przywiązywać powinniśmy do sformułowania programu: związków twórcy z rzeczywistością. Należy odrzucić tu fałszywe, romantyczne teorie żywiołowości. O stosunku twórcy do życia winna decydować świadomość ideologiczna, jasna postępową teorią odejmująca siłę wszelkiej praktyce, uskrzydlająca tę ostatnią, nadająca jej celowość, rozmach, głębię. My walczący o literaturę świadomie służącą masom ludowym i postępowi, dobrze pamiętamy słowa Lenina: „Nie ulega kwestii sprawa literatury najmniej we wszystkich nadaje się do mechanicznego zrównywania, niwelowania, panowania w niej większości nad mniejszością. Nie ulega kwestii, w tej dziedzinie jest bezwarunkowo konieczne zapewnienie wielkiej przestrzeni inicjatywie osobistej, indywidualnym skłonnościom, przestrzeni dla myśli i fantazji, formy i treści”. Ale pamiętamy i dalsze jego słowa wypowiedziane w tej samej rozprawie jeszcze w pamiętnym roku rewolucji (1905): „...żeby literaturze obywateli wolnej, a w istocie związanej z burżuazją przeciwstawić literaturę rzeczywistości wolną, jawnie związaną z proletariatem...”

Myślę, że nie trzeba szerzej rozważać zastosowania tych słów do swoistych i o pół wieku późniejszych stosunków polskich.

W publicystyce ostatnich miesięcy poruszane były obszernie postulaty współczesnienia, aktualizacji, upolitycznienia naszej literatury. Dyskusja prasowa bodaj wyjaśniła ich niuansy. Tu chciałbym tylko te służące postulaty przypomnieć.

II. ZDOBYCZE I NIEDOSTATKI

5. Ocena literatury współczesnej nie może być ani przyjacielska, ani tym bardziej nihilistyczna.

W historii literatury zazwyczaj krytyka współtworząca nowe prądy literackie była krytyką pozytywną, krytyką egzaltującą to, co tworzyli bliscy jej artyści, krytyką postulatywną, wskazującą kierunek drogi, ale pamiętającą, że samą drogę sztuki wybierają i budują przede wszystkim sami artyści.

Krytyk współczesny nie może przeoczyć tych wszystkich zdobyczy literatury współczesnej, które zapowiadają jej dalszy rozwój w kierunku postępu, nowatorstwa ideologicznego, użyteczności społecznej,

Po pierwsze należy podkreślić niezwykle znamienne przesunięcia się akcentów stylizacyjnych i przez to ideowych. U schyłku lat międzywojennych w życiu literackim dominowały tendencje postekspresjonistyczne, stylizatorskie, ujęcia groteskowe i deformujące. Znajdowało to swój wyraz czy to w przejawskrawieniach konstrukcji, rozbijaniu form gatunkowych, czy to w przejawskrawianiu analizy psychologicznej. Niewątpliwie ten typ literatury dominował w ówczesnym życiu literackim, przyciągał najwybitniejsze talenty. Przykładem choćby twórczość Gombrowicza i pozycja jego twórczości. Podobnie rzecz się miała choćby z ewolucją pisarską Żegadłowicza. Nie atakuję tu bynajmniej tych historycznie koniecznych tendencji deformatorskich. Deformacja bywa często płodnym szukaniem nowych form. Płodnym dla przyszłości. Tak było w latach międzywojennych. Lecz w parze z tymi dążeniami formalnymi występowało uchylanie się od rozwiązywania problemów rzeczywistego życia, od odpowiedzi tak - tak, nie - nie. Nic to ze sobą pustkę ideową.

W trzyleciu powojennym mamy wyraźną zmianę proporcji. Postekspresjonistyczne tendencje stały się wyraźnie drugoplanowymi. Dominują zupełnie oczywiście tendencje realistyczne. I chociaż ten styl nie osiągnął jeszcze swojej pełni — ta nowa sytuacja stylów w naszym życiu literackim rokuje dobre nadzieje na przyszłość.

Nie trzeba tu w gronie fachowym szerzej wyjaśniać sensu ideowego tej przemiany. Ekspresjonistyczne deformacje służyły sprawie ucieczki od rzeczywistości, zafalosa wywaniu jej społecznych sprzeczności. Realizm, jak mówi historia literatury XIX i XX wieku — bardziej, niż jakikolwiek inny styl sprzyja postępowi, nie cofającej się przed prawdą interpretacji ideologicznej świata.

Po drugie przewyższona została w szeregu wyróżniających się prac negująca czynniki społeczne, izolująca jednostkę od zbiorowości i historii psychologiczna i biologiczna konstrukcja losu ludzkiego.

Przykładem tej konstrukcji biologicznej, jak podkreśla krytyka, może być powieść wyrastająca ze wzorów reymontowskich czy hamsumowskich, wiążąca los chłopski z rytmem przemian natury i pór roku. Przykładem jej przełamania powieść Gałaję, która niezależnie od jej wartości artystycznej w nowy sposób ukazuje zależność losu chłopskiego: podkreśla zależność od historii i polityki, od faktów, nie wiążących się z powtarzalnym rytmem przemian dorocznych natury.

Przykładów psychologicznej konstrukcji losu ludzkiego nie trzeba cytować, dostarcza ich bowiem prawie cała literatura lat międzywojennych. Z tym większym naciskiem należy uwydatnić próby przełamania tej konwencji w naszej nowej prozie. Nie znajdziemy w niej konstrukcji powieściowych typu „Niecierpliwych” Nalkowskiej, „Cudzoziemki” Kuncewiczowej, czy „Zazdrości i medycyny” Choromańskiego.

O zmianie tej mówi także twórczość niektórych z pośród przykładowo zacytowanych pisarzy. Weźmy choćby „Medaliony” Nalkowskiej.

Próby socjologicznej konstrukcji losu ludzkiego w powieści przeprowadzone są na ogół jeszcze drogą mniej lub więcej częściowych modyfikacji psychologicznej tradycji. Trzy lata — to strasznie mało. Omawiane zjawiska trzeba umiejętnie obserwować in statu nascendi. Lecz to przesunięcie motywacji powieściowej z czynników psychologicznych na socjologiczne widzimy w wielu utworach powojennych.

Nie jest to zresztą przykład jakiegos absolutnego nowatorstwa — raczej podyktowany potrzebą społeczną pozaliteracką, zwrot do starej tradycji wielkiej powieści polskiej XIX w. Tradycji, o której zapomniano w dobie neoromantycznej i w latach międzywojennych. Socjologiczną bowiem była motywacja i przez to konstrukcja losu bohatera i w „Powracającej falli” Prusa i w „Dziurdziach” Orzeszkowej. Tym praw dopodobnie jest pełny sukces nowego rodzaju powieści dzisiaj, że ma ona tak doskonałe wzory w historii literatury narodowej.

Trzecim z kolei osiągnięciem naszej powojennej prozy, które budzi i rokuje nadzieje, jest jej upolitycznienie.

Nurt ten nieśmiało zapowiadający się na progu XX w. w twórczości Żeromskiego, Struga i Daniłowskiego, poszerzył się znacznie w międzywojennym dwudziestolecu. Reprezentowali go poza Kadenem Bandrowskim właściwie tylko pisarze lewicy z Kowalskim, Kruczkowskim i Wasilewską na czele. Dziś te tradycje zostały podchwyczone szeroko. O zainteresowaniu dla problematyki politycznej świadczą prawie wszystkie utwory powojenne z wyłączeniem tylko tych, które bardzo konsekwentnie nawiązują do tradycji dominujących w latach międzywojennych, a więc utwory ekspresjonistyczne typu Kafkai albo utwory zupełnie psychologiczne.

6. Miałem okazję pisać, iż główny niedostatek naszej prozy powojennej stanowi nieprzewidywany dotąd spadek nieaktualnych, ideowo obcych współczesności tradycji literackich. Powojenna proza polska rozumie swoje społeczne obowiązki. Jest zwrócona ku współczesności. O tym świadczą tematy książek wydanych po wojnie.

A jeśli ten literacki obraz współczesności nie zadawała nas, to przede wszystkim dlatego, iż proza nasza nie pozbyła się ideologicznie niewspółczesnych tradycji literackich: ekspresjonistycznej deformacji, biologicznej trywialności w motywacji, psychologicznego izolowania wnętrza człowieka, oglądania świata tylko oczyma bohatera przy wyrzeczeniu się przysługującej autorowi pełnej wiedzy o świecie.

Myszę, że najbliższe postulaty, które należało by postawić naszej literaturze dałyby się streścić w czterech punktach.

Po pierwsze środowisko, z którego rekrutują się bohaterowie naszych nowych powieści jest ciągle zbyt jednostronnie inteligentkie. Nie należy tego rozumieć fałszywie.

Mamy dziś liczbowo raczej równomiernie rozłożone powieści mówiące o środowisku inteligentkim, chłopskim, robotniczym (o tym ostatnim stosunkowo najmniej).

Lecz ciągle jeszcze środowisko inteligentkie lub drobnomieszczańskie jakościowo dominuje.

A co gorsza — nie ma powieści ukazujących wzajemne związki tych różnych środowisk społecznych. A to jest bodaj najważniejsze. Nie o to chodzi, aby z granic własnego środowiska przetrząść się w równie ciasne oplołki wsi. Chodzi o to, aby widzieć całość — a nie wycinki.

Podobnie rzecz się ma z problematyką. I to jest drugi postulat. Pisarze nasi nie biorą za punkt wyjścia centralnego problemu przemiany naszego społeczeństwa. Piszą swe dzieła tak jakby wybrany przez nich problem uboczny był centralnym. Nie widzą jego związków z całością historycznych przemian. Falszują w ten sposób obraz sprawy. Mamy np. szereg powieści o izolacji inteligentów od mas i ich walki społecznej. Napisane są one tak jakby centralnym problemem naszej epoki było owo zrywanie inteligentów ze swoją izolacją. A przecież ten problem da się pojąć prawdziwie tylko jako fragment zasadniczej przemiany historycznej naszego społeczeństwa. Można mu oczywiście poświęcić niejako monograficzne studium powieściowe, ale trzeba rozumieć, że pokazuje się tu część większej całości, trzeba uwidatniać te związki z całością. Podobnie mamy szereg książek o losie młodzieży inteligentkiej w czasie wojny. Przemiany polityczne i małe rozczarowania tej młodzieży, pojęte są znów jako problem centralny, sam dla siebie naszej współczesności, problem tłumaczący się w oderwaniu od całości przemian naszej epoki. I tu mamy tak samo błędny rezultat, tak samo fałszywy obraz. Należy oczekiwać, że nowa nasza powieść będzie pokazywać dole wybranych bohaterów i środowisk wychodząc od centralnego problemu naszej epoki walki wyzwoleniczej mas pracujących. Tylko oświetlenie losów dowlolnego środowiska przy pomocy tego historycznego ogniska współczesności rzuci na nie prawdziwe światło.

Trzeci pilny postulat dotyczy przewyżczenia u nas fałszywego, rzekomego humanizmu. Z góry trzeba uprzedzić czytelnika, że te pseudohumanistyczne tendencje nie stanowią strukturalnie, w sposób konieczny powiązanego systemu. Przeciwnie, są to obce wręty, które można i trzeba eliminować, a które występują w różnych systemach współczesnej myśli humanistycznej.

Pragnę zwrócić uwagę na najczęstsze

PAWEŁ HERTZ

RZEKI

Tak niewiele mi trzeba. Książek, snu, podróży, obojętności świata, który dla Ikara, kiedy na morze spada, oczu swych nie nuży, nie widzi go i słyszeć nawet się nie stara. Malarstwo niech mi jeszcze wiernie towarzyszy, może muzyki trochę, nie jak ona ciszy doskonale utrwalić nie umie. Prócz tego niczego pewnie nie chcę. Nie pragnę pamięci, ani daru wolania z amfilady lat, tych, którzy zostali tam w głębi zakłęci chłodem świata i śmiercią. Daj mi tylko kwiat suchy, bezwonny znaleź pomiędzy kartkami nieodeczytanej książki nad którą objęci marzymy tak odmienni, że już prawie sami.

Obojętności jakże nie pragnąć? W tym świecie, gdzie wszystko ginie, pęka, kruszy się, przemija, gdzie razem nigdy nie bywa się przecie, gdzie umierając zwolna czas syczy jak żmija, lub zrzuca łuski niby wąż.

Planecie

naszej nie dano niczego prócz czterech krótkich sezonów, z których każdy kłeskę niesie. Dzieli nas wiosna, lato, ięczy — może jesień, pewnie zima, gdy ślęczę nad pustym papierem. Nawet kiedy usypiasz obok mnie, odchodzisz, martwe ciało oddycha i chłód mrozi ramię i stopa w białej zimie jak w pościeli brodzi, lękam się snu twojego i jak szkło tak łamię oddzielną noc, gdy jeszcze bywałam młodzi.

Lecz nachyl tylko ucha! Mój czas jest spokojny, jak smutna rzeka płynie — Ob, Jenisej, Wołga, nie połączymy nigdy naszej krwi. Są wojny nie tylko między ludźmi. Poprzez noc się czolgasz, jak żołnierz bez zwycięstwa. Twoja krew upływa niby czas, niby rzeki — Tybr, Sekwana, Ebro i niesie w sobie błękit, purpurę i srebro, zrywa bandaż z ciała, rwie skórę jak gazę troskliwych opatrunków. Bez snu znowu razem obojętni dla światów oddzielnych ślęczymy nad książką, snem, podróżą. Odległe cesarstwo spokoju i bezwładu posyła nam w darze ostatni dzień jesieni przed pierwszym dniem zimy, cały w późnej czerwieni, jak świetne malarstwo, gdzie wśród przepychu świata nikną ludzkie twarze.

dzisiaj objawy tego pseudohumanizmu w literaturze.

W twórczości powieściopisarskiej historycznej ten antyhumanizm polega na odwracaniu się od prawdy o życiu dawnych epok, od średniowiecznych rzeczywistych sprzeczności społecznych, powstania rzemieślniczych, fanatycznych ruchów komunistycznych, od tego tragicznego miotania się skrupowanego człowieka u progu jego drogi ku wolności. Polega na fałszywym przenoszeniu schematu rzekomego doskonałego ustroju społecznego zaczerpniętego z dziewiętnastowiecznych wstecznych i utopijnych teorii, przenoszeniu w jakieś nieokreślone w czasie i przestrzeni historyczne zmyślenie. Polega na zafalszowaniu przeto historycznego sensu walki wyzwoleniczej człowieka, polega na reakcyjnym kierowaniu jego tęsknot w przeszłość, taką, której zaprawdę nigdy nie było.

W twórczości powieściopisarskiej o współczesności, sprowadza dramata człowieka do wyzwalania się z oków grzechu. Ta teologiczna interpretacja doł ludzkiej jest obciążona odwieczną tradycją. W swoim czasie odzwierciedlała jednoznacznie historyczny konflikt ludzki. Dziś jest raczej zbiorem pustych anielskich symboli, które trzeba zawsze na nowo wypełniać do czasu historyczną treścią. To też często i dla wielu ta interpretacja jest formą ucieczki od konfliktów współczesności, jest formą przesłaniania prawdy. Będzie to pusty spór o słowa krytyka koncepcji wyzwalania się z oków grzechu, jeśli jej zwolennik rzeczywiste, historyczne zło nazwie grzechem, jeśli okaże się wolny od przesądu, jeśli granice między złem a dobrem nakreśli zgodnie z linią, którą wytyczyła walka i godność dzisiejszego człowieka, a nie martwa tradycja dawno umarłych czasów.

Ale jeśli granica grzechu i cnoty nie przebiega tak, by wyraźnie oddzielić te konkretne formy życia społecznego, które sprzyjają sprawie wyzwolenia człowieka od tych, które jej szkodzą — to wówczas koncepcja „niewoli grzechu“ jest pseudohumanistyczna. Jeśli granica ta nie oddziela tego wszystkiego co wywalczyli polityczny i społeczny ruch ludowy od tego co jest w konkretnych formach życia społecznego wrogię postępowi, jest to granica fikcyjna, fałszywa, myląca.

To prawda, myślenie humanistyczne winno opierać się na moralności. Lecz moralność, która pamięta, że „istota ludzka nie jest abstrakcją tkwiącą w poszczególnej jednostce. Jest ona w swojej rzeczywistości zespołem stosunków społecznych“ (szósta teza o Feuerbachu). I pamięć o tej prawdzie każe rzeczywście humanistycznemu moralistycznie odróżniać zło i dobro, kreślić normy i obowiązki moralne opierając się na dobrej znajomości historycznych,

zmiennych stosunków społecznych. A nie na rzekomych prawdach o niezmiennej naturze ludzkiej, przyrodzonych i nadprzyrodzonych.

Powtarzam, jeśli komuś zaduma nad tak czy inaczej pojętym człowiekiem daje właściwą wiedzę o współczesnej, historycznej i społecznej granicy zła i dobra, to oczywiście nie nazwiemy go pseudohumanistą z racji słów i wyrażań, przy pomocy których zgłasza swój akces do walki o słuszną sprawę. Nazwiemy go fałszywym humanistą tylko wtedy, gdy swą troskę o wyzwolenie człowieka z „niewoli grzechu“ obróci ku tak nieważnym sprawom, iż w konsekwencji będzie wspierał niewolę społeczną człowieka.

Jak mówił Marx „Ludzie tworzą swoją własną historię; nie tworzą jej przecież arbitralnie, w warunkach przez nich wybranych, lecz w warunkach bezpośrednio danych i odziedziczonych po przeszłości.“ (cyt. przez H. Denis).

Prawdziwy humanizm nie pokazuje nam człowieka fikcyjnego w rzekomej mocy sił nadprzyrodzonych, pozaspołecznych, ahistorycznych. Z prawdziwego humanizmu rośnie wiedza o rzeczywistym człowieku. Właśnie skreślonym przez swą historyczną, społeczną, przyrodzoną konkretność. Dramat człowieka to dramat historyczny. Obowiązki moralne — to obowiązki wobec moralności, której służy każdy postęp cywilizacji. Nie wystarczy wyzwałać człowieka z mocy grzechu. Prawdziwy humanista widzi jego prawdziwą niewolę:

„kiedy produkt pracy, mówi Marx nie należy do wytwórcy kiedy ten produkt jest dlań siłą obcą, to znaczy, że produkt ten należy do kogoś innego, aniżeli robotnik. Jeśli jego działalność jest dlań torturą, musi być radością i urodą życia dla innego. To nie bogowie, to nie przyroda, to człowiek jedynie może być tą siłą obcą, która uciska drugiego człowieka“ (cyt. przez H. Denis).

To faszyzm, fakt społeczny, polityczny i gospodarczy, a nie grzech katechizmowy zagroził naszym czasem. I ten cytat Marxa, uczulający — wbrew współczesnym pseudohumanistom, dramat ludzki, wprowadza nas od razu w tradycyjny klimat europejskiego humanizmu. Humanizmu Erazma, Molière'a, Encyklopedystów — prawdziwych obrońców wolności.

Toteż prawdziwy humanizm broni kultury — nie tylko szanując jej tradycje, prawa wewnętrzne, godność. Ale także strzegąc jej — środkami doczesnymi, przed groźbą wojny, przed odbudowywaniem centrów imperializmu, jak dzisiaj przed cynicznym odbudowywaniem imperializmu niemieckiego. Prawdziwy humanizm broni praw człowieka do pełnego rozwoju. Lecz ślady jego drogi historycznej utrwalone są nie tylko w rozmyślaniach o życiu wewnętrznym, ale przede wszystkim w pro-

gramach ludowych ruchów społecznych i politycznych, które od stu lat walczą z konkretnymi formami przemocy politycznej, narodowej, ekonomicznej w życiu społecznym. Prawdziwy humanizm to dziś nie tylko ogólna troska o jednostkę — to także obrona pokoju, współpracy kulturalnej między narodami, suwerenności (także kulturalnej suwerenności) narodów, obrona prawa całych społeczeństw do swobodnego rozwoju kulturalnego i politycznego.

I to wyraża się w prawdziwie ludzkim powiązaniu spraw twórczości duchowej i życia praktycznego, spraw sztuki i obowiązków społecznych, norm artystycznych i politycznych.

Najtrafniej, sądzę sformułuje postulaty artystyczne i ideowe naszego czasu ten, który próbuje odpowiedzieć jakiej treści, jakie książki winny być upowszechnione? Wtedy potrafi oddzielić te, które wyrosły z prawdziwego humanizmu i służą awansowi kulturalnemu i społecznemu mas, od tych, które tej sprawie szkodzą.

III. PROPOZYCJE PRAKTYCZNE

7. Procesy, które chcemy przyspieszyć nie mogą przebiegać żywiołowo. Proces przeobrażeń ideologicznych literatury polskiej winien przebiegać szybciej i efektywniej niż dotąd.

To wymaga dużego udziału świadomości. To wymaga pracy ideologicznej.

Na poprzednim Zjeździe bilansując dwuletnią pracę ZZLP zwróciłem uwagę na brak wpływu naszej organizacji na takie sprawy jak umowy zbiorowe z wydawcami i innymi instytucjami rozpowszechniania książki, jak brak współdziałania z CKZZ. Obecnie wiele z tych postulatów zostało zrealizowanych. Głos Związku jest słuchany w różnych zakresach polityki kulturalnej, tworzone są przy CKZZ formy organizacyjne dla związkowej, społecznej inicjatywy w polityce kulturalnej. Odbudowa Związku jako instytucji zawodowej bardzo posunęła się naprzód w ciągu tego roku. Drogi dalszej pracy w tym zakresie dobrze i jasno zostały wytknięte.

Myszę zatem, że w tym roku z kolei główny nacisk na działalność Związku należy położyć na pracę ideologiczną. Należy zintensyfikować wewnętrzne ideowe życie oddziałów. Winniśmy w tym roku rozpocząć i przeprowadzić kampanię dyskusyjną i osądów bieżącej twórczości literackiej. Doprowadzić w tym roku do realnej współpracy Związku z instytucjami kultury masowej. Należy osiągnąć wpływ na politykę kulturalną. A to jest możliwe przede wszystkim przez intensyfikację naszej działalności ideologicznej, inaczej kierownictwo polityki literackiej będzie poza wpływami, co już obserwujemy i będzie przechodziło do innych ośrodków dyspozycji aktywniejszych ideowo. Ponieważ wszelkie ośrodki poza Związkiem, z natury rzeczy mniej serdeczną troską otaczają literaturę, taki stan rzeczy musi być połączony ze szkodą dla piśmiennictwa. Dlatego też musimy walczyć o wpływ pisarzy na politykę literacką. Lecz jednocześnie musi to przynosić pożytek społeczny, musi być postępowym, szarmonizowanym z ogólną polityką kulturalną kraju, z ogólnym rytmem przemian demokratycznych.

Muszą zwyciężyć zasady ideologiczne nad komercyjnymi w polityce wydawniczej. Ta ostatnia — w świetle cyfr A. Bromberga — budzi poważny niepokój. Przede wszystkim przez częste podporządkowanie programu wydawniczego zasadzie opłacalności i to natychmiastowej. Doprowadziło to do zupełnego zahamowania wydawnictw poetyckich i esesistycznych, naukowych historycznych i teoretyczno-literackich, doprowadziło do osapości, przypadkowości i niedbalstwa w wydaniach klasyków, do zupełnie kompromitującego produkowania prawie wyłącznie szmir w zakresie przekładów współczesnych autorów obcych.

Zaszczytnym wyjątkiem jest tu wielka biblioteka poetycka „Czytelnika“, spółdzielnia „Książka“ wydaje masowo klasyków literatury polskiej. Ale są to małe tomliki, zaledwie szkolne wybory tekstów. Nie ma dotąd wznowień zbiorowych wydań największych pisarzy naszej przeszłości. Tego winniśmy się domagać z całą stanowczością. Planowo także wydaje „Książka“ wielkich realistów francuskich. Księgarstwo spółdzielcze samo popielając czasem błędy, robi duże wysiłki, by usensownić naszą politykę wydawniczą. Lecz odbudowując w pierwszej fazie bazę materialną, drukarską i organizacyjną, — nie panuje jeszcze na rynku, obejmując zaledwie 25 proc. produkcji ogólnej. Państwo ogranicza się prawie wyłącznie do wydaw-

nictw szkolnych i naukowych, więc nie wpływa na zmianę tych proporcji.

Ruch umysłowy naszego pozytywizmu mówił jak wiele dla przewrotu umysłowego znaczy pomoc z zewnątrz. Jak zaważyły na postępie kultury polskiej w tym czasie śmiałe i mądre przekłady klasyków światowej myśli współczesnej. Dawano w biednym kraju przekłady wielotomowych zbiorów dzieł nawet uczonych jak H. Spencer czy H. Taine. Dziś w tym zakresie panuje chaos i bezład. Jedynie klasycy marksizmu są z sensem wydawani. Natomiast z literatury obcych wiele książek Vicki Baum, Zane Grey, Deepings, czy Sommerset, Maughama w najlepszym razie. Natomiast klasycy i współcześni, którzy by stanowili kapitał umysłowy i artystyczny kraju są wydawani jak na lekarstwo i bez szerszego planu.

Polityka literacka, przeobrażenie literatury jest także uwarunkowana polityką wydawniczą. Gdy ta jest prowadzona bez planu, lekceważy dorobek klasyczny, ze współczesności wybiera dochodową szmirę, odwraca się od rzetelnych wartości artystycznych i mniej popularnych gatunków — musi to się ujawnić odbijając na polityce literackiej i na ideowym życiu literatury. Przypominam tu wszystko co ostatnio pisano o konieczności planu w polityce kulturalnej, zwłaszcza o planowej organizacji konsumpcji kulturalnej. Urzeczywistnienie postulatów odnowy ideologicznej naszej literatury zależy od czynników subiektywnych, ale zależy również od czynników obiektywnych. Sprzyjające tej przemianie warunki obiektywne stworzy przede wszystkim rozumny plan krajowej polityki kulturalnej. Plan organizacji konsumpcji, plan przewidujący walkę z analfabetyzmem, akcję biblioteczną, usprawnienie administracji kulturalnej. Plan ten winien objąć i krajowy plan wydawniczy¹⁾. Pisano o nim wiele. Trzeba te myśli jeszcze raz sobie przypomnieć. Gdyż cyfra Bromberga grożą i niepokoją (por. „Kuźnica” Nr. 47 b. r.).

W III kwartale 1947 r. już 1/10 całej produkcji stanowią książki treści dewocyjnej. Czyżby nasi wydawcy wchodzili w okres saski?

8. Reasumując możemy powiedzieć, że pożądane ideowe przeobrażenie literatury polskiej, dokonywane się przed naszymi oczyma. Dowodem tego jest możliwość wskazywania palcem coraz donioślejszych zdobyczy nowatorskiej literatury, możność stawiania coraz szczegółowszych i konkretniejszych postulatów, gdy jeszcze rok temu trzeba było ograniczyć się do najbardziej ogólnych sformułowań.

Dziś możemy sobie powiedzieć, że proces, który już przebiega — winien przebiegać szybciej.

Żywotność naszej literatury pozwala spodziewać się urzeczywistnienia tych wszystkich nadziei.

Postarałem się w moim referacie poruszyć sprawy stosunku naszej bieżącej twórczości do europejskiej i naszej własnej tradycji literackiej, sprawy stosunku do potrzeb polskiej polityki kulturalnej, sprawy stosunku literatury do życia i książek.

Omówiłem zdobycze i niedostatki naszej powojennej produkcji. Nowe pozycje realizmu i ekspresjonizmu, sprawy odnowy powieściowej konstrukcji losu ludzkiego, sprawy upolitycznienia naszej literatury. Poruszyłem postulaty wyjścia poza własne ciasne środowiska, skupienia uwagi na centralnej problematyce naszych czasów, obowiązków wychowawczych literatury, przewyciężenia fałszywego humanizmu t. zw. katolickiego pisarstwa.

Zamknąłem przegląd propozycjami praktycznymi Teraz oczekuję dyskusji. Osądu — nawet surówego — moich myśli. Powinniśmy bowiem wyjść z tej sali zjazdowej z jaśniejszym niż dotąd poglądem na drogę ideowego rozwoju naszej sztuki. Sytuacja wymaga możliwie najpełniejszego uświadomienia sobie programu ideowego naszej literatury.

Stefan Żółkiewski

¹⁾ W dyskusji imputowano mi, że proponuję ograniczenie merytorycznego wpływu wydawców na politykę wydawniczą. Już przed szeregiem miesięcy, w czasie dyskusji nad ogólnopolskim planem wydawniczym pisałem w „Kuźnicy” i w „Nowych Drogach” przeciw K. Budzykowski o konieczności skoncentrowania kierownictwa planem w ręku wydawców. Podtrzymałem to zdanie i dzisiaj. Domagam się jedynie, aby polityka wydawnicza, selekcją książek rzadziły zasady ideologiczne, zasady służenia kulturze i demokracji. Aby tej wysokiej ideowości nie wypaczano ani przez wulgarną interpretację, ani przez schlebienie zaoferowaniu pod maską rzekomego ekлекtyzmu czy laisssairyzmu ani względami komercyjnymi.

RYSZARD MATUSZEWSKI

TRZECI SEJM LITERACKI

TRZECI Walny Zjazd Delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich odbył się we Wrocławiu. Po burzliwej stosunkowo atmosferze zeszłorocznego zjazdu łódzkiego nie obiecywano sobie tym razem wiele po starciach dyskusyjno-ideologicznych. Wszystko przecie tyle razy było już powiedziane i napisane. Oczekawano natomiast z pewnymi nadziejami rezultatów debat nad konkretnymi postulatami polityki kulturalnej, i to nie tylko w sprawach ściśle zawodowych. Wiele zjawisk z zakresu życia publicznego, i to zarówno na forum kultury, jak w dziedzinach ogólniejszych, zdawało się domagać głosu pisarza. Zjazd unaościł, że głos ten ma jednak wyraźny sens ideologiczny, że właśnie dyskusja światopoglądowa okazała się płodna i owocna, właśnie w zakresie dyskusji na tematy ideologiczne, która wbrew oczekiwaniom, rozwinęła się tym razem, dzięki przemówieniom kilku zwłaszcza mówców, w sposób o wiele ciekawszy i bardziej pogłębiony niż na zjeździe zeszłorocznym, uwydatniła się właściwa rola Zjazdu.

Nie jest może przypadkiem, że obecny w przeddzień Zjazdu Literatów we Wrocławiu Prezydent Rzeczypospolitej w przemówieniu swoim z okazji uruchomienia nowej wrocławskiej radiostacji mówił o zadaniach nauki, literatury i sztuki. Prezydent mówił o potrzebie optymizmu, niecenia żapału i wiary w zwycięstwo wysiłków narodu, jakich społeczeństwo oczekuje od literatury. Na Zjeździe toczyła się dyskusja nad zagadnieniem humanizmu i wiary w człowieka. Odcięto się od literatury zwątpienia i depresji, oraz społecznej izolacji pisarza od otaczającego go świata. Na Zjeździe poddano pozytywne, krytyczne wiele fałszywych posunięć niezręcznych wulgaryzatorów upowszechniania kultury. W jednym z wrocławskich przemówień Prezydenta Bieruła znalazło się również miejsce na krytykę popularnej i gorszej kultury dla mas, oraz drugiej, elitarniej kultury — dla wybranych. Drogi myśli i trosk Najwyższego Przedstawiciela władzy państwowej oraz ogółu pisarstwa polskiego — zbiegły się.

Wydarzeniem centralnym Zjazdu stał się, podobnie jak i w roku zeszłym, referat Stefana Żółkiewskiego. Wokół niego toczyła się w drugim dniu obrad zjazdowych całodzienna dyskusja, zasięgiem poruszanych spraw obejmująca całokształt zagadnień nie tylko pisarstwa, ale i w ogóle życia kulturalnego w Polsce. Do tej dyskusji włączone też zostały niejako, przez nawiazanie do nich, — inne części Zjazdu, jak bardziej merytorycznie ważkie spośród przemówień powitalnych, jak sprawozdanie sekretarza ustępującego zarządu, jak wreszcie drugi z zjazdowych referatów wygłoszony w pierwszym dniu przez Zdzisława Hierowskiego, mówiący o roli pisarza na Ziemiach Odzyskanych i precyzujący w ten sposób oblicze Zjazdu wobec faktu obradowania w stolicy tych ziem.

Dyskusja, jak wspominałem, toczyła się wielotorowo, obejmując zasięgiem swym zarówno tezy ideologiczne referatu Żółkiewskiego, jak i poszczególne, konkretne zagadnienia polityki kulturalnej i zawodu pisarstwa. Jeśli chodzi o pierwsze, przedmiotem jej stała się zwłaszcza teza referenta, mówiąca o konieczności przewyciężenia postawy fałszywego humanizmu, za wyraz której można jego zdaniem uważać pewien typ twórczości współczesnej, przesuwający, bądź na tle zdarzeń z czasów odległych, bądź na tle współczesnym, centralne zagadnienie człowieka w sferę spraw fikcyjnych i nieistotnych. Pisarze katolicy (Zawieyski, Turowicz) dopatryli się w tym krytyki postawy humanistycznej w ujęciu katolickim, podkreślali niejednoznaczność pojęcia humanizmu.

Odpowiadając dyskutantom Stefan Żółkiewski wyjaśnił, że mówiąc o humanizmie fałszywym, nie miał na myśli atakowania podstaw metafizycznego światopoglądu katolików. Chodziło mu jedynie o czysto praktyczne konsekwencje postawy niektórych pisarzy, nie

koniecznie katolickich. Świat dzisiejszy jest światem walki dwu zasadniczych sił, dwóch koncepcji kultury. Prawdziwy humanizm prawdziwą obroną człowieka widzieć należy po stronie koncepcji związanych z demokracją społeczną, nie zaciemniających obrazu prawdziwych sprzeczności politycznych, społecznych i gospodarczych tak w rzeczywistości, jak w literaturze. Referent podkreślił, że na terenie międzynarodowym klasycznym przykładem tego fałszywego humanizmu będącego w gruncie rzeczy awangardą polityki ekspansji imperialistycznej jest literatura beznadziei i rozpacz, ucieczki od rzeczywistego świata walki o lepszą przyszłość, literatura pesymistyczna tego typu co np. twórczość egzystencjalistów. Nie jest nią natomiast np. mogąca uchodzić za pesymistyczną, lecz ukazująca istotne sprzeczności społeczne i tocząca walkę z oficjalnym optymizmem swego środowiska, postępową literaturą amerykańską. Zgodził się też na wysuniętą w dyskusji przez Aleksandra Wata propozycję zastąpienia pojęć literatury optymistycznej i pesymistycznej, pojęciami literatury zaangażowanej i niezaangażowanej.

Biorący udział w dyskusji pisarze katolicy podkreślali na ogół solidarność z zasadniczą koncepcją ideologiczną a nie wyłącznie estetycznych zadań literatury, obwarowali ją jedynie pewnymi zastrzeżeniami. I tak Jerzy Zawieyski, w swym przemówieniu, podniósł przeczony jego zdaniem często fakt, że literatura polska bardziej, niż jakakolwiek inna w ciągu dziejów poświęcona była w dużej mierze służbie społecznej, i że apeli o nawołujących do społecznego angażowania się pisarzy nie należy u nas lekko myśleć nadużywać. Mówca nawiązał do powołanego przez Stefana Żółkiewskiego terminu „socjologicznej konstrukcji losu ludzkiego”, jako formy organizacji wizji świata w dziele artystycznym, utrzymując że ze stanowiska katolickiego, ani biologiczne ani psychologiczne ani socjologiczne konstrukcje nie wyrażają pełni rzeczywistości, pełnego uwarunkowania ludzkiego losu, zależnego według mówcy od czynników nadprzyrodzonych. W podobnym duchu przemawiał Jerzy Turowicz, rozwijając pogląd na rolę planującego człowieka społecznego, zgodnie z zasadami katolickiego personalizmu. Z mówców reprezentujących światopogląd katolicki zabierał głos ponadto Jan Dobraczyński, broniąc m. in. zakwestionowanej przez Żółkiewskiego celowości wyrażania się na naszym rynku księgarskim dużej ilości literatury dewocyjnej.

Innym zagadnieniem sięgającym w zakres spraw teoretycznych którego wątek powtarzał się w dyskusji była sprawa realizmu. Charakteryzując literaturę lat ostatnich, Stefan Żółkiewski stwierdził pewne przesunięcia akcentów stylizacyjnych a przez to i ideowych w kierunku nawrotu do konwencji realistycznych. Stawiając postulaty literatury „współczesnej”, podkreślił celowość przyjęcia obrazów wielkich przemian społecznych za ośrodek koncepcji artystycznych współczesnego pisarza. Sprawie tej poświęcił częściowo swoje wywody przedstawiciele krytyki, Wyka i Kubacki.

Wyka zakwestionował tezę, według której nieogarnianie przez literaturę lat ostatnich życia od strony jego najbardziej kluczowych i centralnych problemów oraz zbyt wąski kąta widzenia rzeczywistości wynika z niedomagań formy pisarskiej. Nie odejście od konwencji realistycznej, ale zbyt szczerpła wiedza pisarzy o skonfliktowanym współczesnym świecie stał jego zdaniem na przeszkodzie temu, aby mogli oni swobodnie obracać się w sferze zdarzeń rozstrzygających ważnych dla układu stosunków międzyludzkich. Zarysowuje się tu zasadnicza rola prozy jako instrumentu poznawczego, a sprawa realizmu jest sprawą wtórną. Twierdzeniem przekorne go polemisty „Tygodnika Powszechnego” — Stefana Kisielewskiego, który utrzymywał, że postulatów realizmu w chwili obecnej nie da się pogodzić ze wskazaną,

między innymi przez najwyższy czynnik państwowy, potrzebą literatury potęgującej w społeczeństwie zapal do pracy i wiary w owocność zbiorowych wysiłków obywatelskich, że nie może powstać dziś literatura realistyczna, ponieważ rzekomo nie istnieją pozycje społecznej walki, przeciwstawił się gorąco Tadeusz Holu, wskazując na pełną i żywą aktualność antynomii dzisiejszego życia, na bogate i dramatyczne możliwości zajęcia przez pisarza dzisiejszego postawy czynnej i walczącej.

Nie mniej ważne od zagadnień teoretycznych i ściśle z nimi związane były problemy praktyczne. Pierwszy potrzęził je na Zjeździe, wygłaszając dłuższe przemówienie powitalne nowy dyrektor Departamentu Literatury Min. K. i S. Hieronim Michalski. Była to właściwie pierwsza od czasów istnienia tego Ministerstwa wypowiedź programowa kierownika tego działu, który związany jest z pracą pisarzy. Mówca zreasumował dotychczasowe wysiłki państwa w dziedzinie opieki nad pisarzami i rozwoju literatury, nakreślił plany na najbliższą przyszłość, przewidując stworzenie studium literackiego dla młodych pisarzy, specjalnego studium techniki scenariusza filmowego, poradni literackich i jej ośrodków, obliczonych na racjonalne wykorzystanie garncących się do literatury talentów ze środowisk robotniczych i chłopskich. Mówił dalej o planach powiązania pracy pisarzy z działalnością odbiorców i pośredników kulturalnych, o współpracy Związku Zawodowego Literatów z instytucjami społecznymi i zawodowymi, o problemach planu wydawniczego, m. in. zagadnieniu przykładów, projektach Instytutu badań literackich, Instytutu przekładowego oraz Instytutu literatury dziecięcej, o wypracowaniu typu wydawnictw, które mogły dotrzeć do mas robotniczych i chłopskich i wpłynąć na proces ogólnego ich uaktualnienia się.

Niektóre koncepcje przedstawiciele departamentu literatury stały się przedmiotem dyskusji i krytyki. Jednocześnie przeciwstawiono się tezie, wskazującej na rolę drugiego, pozaliterackiego zawodu pisarza. Podkreślono (Wyka i inni), że nawet jeśli założymy że drugi zawód, poza zawodem pisarza jest literatowi potrzebny nie jako uzupełnienie możliwości zarobkowych ale jako pomnożenie życiowych doświadczeń, źródło i powiązanie z życiem, to i w tym wypadku może dotyczyć to co najwyżej pisarzy młodych, debiutujących, do chwili wejścia ich na właściwą drogę pisarską. Postulat drugiego zawodu dla pisarza kryje w sobie niebezpieczne niebezpieczeństwo, jeśli uzna się go choćby częściowo za szlusty w stosunku do pisarzy dojrzałych. Spowodować może tylko upadek autorytetu pisarza i obniżenie się poziomu artystycznego jego dzieł.

Zagadnienie to atakowano może dlatego szczególnie ostro, że zagrożenie pozycji społecznej pisarza, jako zjawisko występujące ostatnio nagminnie na terenie naszego życia, stanowiło poza tym samodzielny przedmiot dyskusji zjazdowej.

Z szerszym trosk zawodu pisarskiego wiele miejsca poświęcono sprawom wydawniczym. Podnoszono zwłaszcza konieczność udziału pisarzy w ustalaniu zasadniczych posunięć w zakresie polityki kulturalnej, szczególnie zaś polityki wydawniczej. Stwierdzano z wielu stron i ujęto w ramach odpowiedniej rezolucji fakt, iż „względny bezpośredni” optymalności wydawnictw dyktują nawet wielkim instytucjom wydawniczym w niektórych wypadkach politykę pomijania utworów wartościowych na rzecz miernych lecz pokupnych²⁾.

W związku z tym poruszano kilkakrotnie sprawę organizacji akcji przekładowej, zarówno utworów obcych jak i utworów polskich na języki obce. Uzasadniano nierealność wysuniętej przez przedstawiciela M. K. i S. zasady wydawniczej partylei przekładowej z utworami oryginalnymi, wobec ograniczonych ilościowo możliwości twórczych polskich pisarzy i nie ulegającego żadnej wątpliwości dużego kulturalnego znaczenia dopływu wartościowej literatury obcej na rynek polski dla rozwoju własnej kultury naszego literackiego odbiorcy.

Jeżeli chodzi o zagadnienie współpracy z innymi instytucjami twórczego życia kulturalnego, to wymienić tu należy wystąpienie dyrektora przedsiębiorstwa „Film Polski” inż. Albrechta z apelem współpracy pisarzy z Filmem, słowa krytyki i troski z jakimi spotkała się na Zjeździe działalność „Polskiego Radia” oraz sprawę współpracy z teatrami — konkretnie sprawę walki o rolę kierowników literackich w teatrach. Apel dyr. Albrechta o zainteresowanie się pisarzy filmem, skonfrontowany z obrazem stosunków między przedsiębiorstwem „Film Polski” a pisarzami nie mógł nie wzbudzić pewnego zdziwienia, zważywszy, że jak dotąd pisarze dostarczali „Filmowi” bardzo wiele materiałów, które film obficie zamawiał i opłacał, a których dotąd nawet w drobnej części nie wykorzystał.

Jeśli chodzi o „Polskie Radio” podnoszono, że mimo zawarcia odpowiedniej umowy ustalającej warunki współpracy pisarzy z tą instytucją, umowa ta jest przez niektóre placówki Radia obchodzona w ten sposób, że placówki te po prostu rezygnują z współpracy pisarzy. Apeliując do przeciwdziałania temu stanowi rzeczy podkreślono też potrzebę walki o podniesienie ogólnego artystycznego poziomu audycji radiowych, które nie zawsze jak dotąd, niestety, poziom ten osiągały. Podkreślano wielokrotnie (Rusinek, Otwinowski,

NOWOŚCI WYDAWNICZE „CZYTELNIKA”

GORKI M.

DZIECIŃSTWO

Tłum. Biłska K.

STRON 206

Zł 280

WINDAKIEWICZ ST.

JAN KOCHANOWSKI

Wyd. 2

STRON 202

Zł 380

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

Polewka) potrzebę walki o realizację zasady, że każdy teatr w Polsce musi mieć kierownika literackiego, który by miał istotny wpływ na politykę repertuarową teatru.

Aby wyczerpać listę ważniejszych zagadnień dyskutowanych na Zjeździe wymienić trzeba sygnalizowaną przez Jarosława Iwaszkiewicza sprawę nowelizacji prawa autorskiego oraz sprawę zmiany ortografii. W tej ostatniej w związku z pogłoskami o zamierzonej nowej reformie, ogół pisarzy wypowiedział się zdecydowanie przeciwko daleko idącym i rewolucyjnym zmianom pisowni, stojąc na stanowisku, że każda taka zmiana pogłębia tylko istniejący chaos. W kwestii stosunku do zmian pomniejszych, zwłaszcza przywrócenia zasad ortografii obowiązującej przed ostatnią przedwojenną reformą, zdania były podzielone.

Przeciwstawiono się tego rodzaju faktom jak wstrzymywanie nakładu książki tylko z tego powodu, że wydrukowana była według zasad starej pisowni.

Większość spraw dyskutowanych na Zjeździe ujęto we wnioskach i rezolucjach zjazdowych. Pomiędzy innymi istotne, dotyczące wewnętrznych spraw Związku lub szczegółowych zagadnień życia kulturalnego, nie można nie podkreślić powzięcia uchwały zasadniczej, będącej wyrazem tej atmosfery porozumienia w sprawach najistotniejszych, jaka panowała na Zjeździe, mimo różnic ideologicznych, dzielących pisarzy prawicy i lewicy. Była nią uchwała przyłączenia się do opublikowanych niedawno głosów pisarzy irackich, radzieckich i bułgarskich, którzy w apelach w obronie zagrożonego pokoju, u dali wyraz swemu zdecydowanemu stanowisku przeciwstawienia się każdej formie podlegania ludów do nowej wojny. Uchwala ta powierzyła pięciu czołowym pisarzom: Jarosławowi Iwaszkiewiczowi, Mieczysławowi Jastrunowi, Zofii Nałkowskiej, Julianowi Tuwimowi i Jerzemu Zawiewskiemu redakcję apelu treści podobnej, pod którym podpisze się w najbliższym czasie ogół piśarstwa polskiego.

Sprawozdanie ustępującego zarządu przyjęte zostało przez Zjazd z pełnym uznaniem. Ustępujący Zarząd w ciągu swej kadencji załatwił, zwłaszcza dzięki aktywności sekretarza generalnego Juliusza Żuławskiego i skarbnika Aleksandra Wata wiele spraw zasadniczego znaczenia dla działalności Związku, zawarł zasadnicze umowy zbiorowe z „Czytelnikiem” i „Polskim Radiem”, nawiązał pertraktacje w sprawie dalszych umów i konwencji, zwłaszcza konwencji wydawniczej i umowy dotyczącej dochodów Związku z wydawania dzieł objętych dekretem o dwunastu klasykach. Ponadto Zarząd uzyskał szereg konkretnych świadczeń dla Związku, zorganizował biuro Zarządu Głównego, utrzymywał kontakt i współpracował ze wszystkimi instytucjami, których działalność w mniejszym lub większym stopniu dotyczyła spraw Związku i ogólnej polityki kulturalnej. Udzieleniu absolutorium ustępującemu zarządowi towarzyszyła zatem nie tylko formalna, lecz istotna i zdaje się jednomyślna aproba dla jego wysiłków. Wyrazem jej był też w pewnym stopniu jednomyślny wybór nowego zarządu, w którym na stanowisku sekretarza generalnego pozostał Juliusz Żuławski, na stanowiskach wiceprezesów Jerzy Zawiewski i Stefan Żółkiewski. Prezesem obrany został po raz drugi, po jednorocznej przerwie, Jarosław Iwaszkiewicz. Ponadto do zarządu weszli Michał Rusinek (skarbnik), Kazimierz Wyka, i Wilhelm Szewczyk.

Zjazd odbył się we Wrocławiu. Aczkolwiek trwające od rana do wieczora obrady nie pozwoliły jego uczestnikom na nawiązanie bliższego kontaktu z miastem, atmosfera nowego kulturalnego ośrodka Polski dotarła do sali zjazdowych obrad. W obradach tych uczestniczyli członkowie wrocławskiego Oddziału Związku Literatów z Anną Kowalską, prezesem Łosiem i prof. Tadeuszem Mikulskim na czele. Brakowało wprawdzie bawiącego na wycieczce w Moskwie Wojciecha Żukrowskiego, ale za to reprezentowały go pierwsze egzemplarze „tego nowej książki, przywiezione przez wydawcę z Katowic. Nie od rzeczy będzie podkreślić w tym miejscu gest tegoż wydawcy („AWIR”) który przy podniesieniu poruszanej już na Zjeździe poprzednim sprawy wydania książki pamiątkowej pisarzy, zmarłych w czasie ostatniej wojny, zadeklarował całkowicie wzięcie na siebie kosztów tego wydawnictwa.

Na referatach i dyskusji zjazdowej obecna była spora grupa młodzieży z coraz żywiej rozwijającego się wrocławskiego ośrodka uniwersyteckiego. Na zakończenie Zjazdu odbył się wieczór autorski, na którym odczytano utwory kilkunastu spośród przybyłych do Wrocławia pisarzy. Organizacja Zjazdu działała sprawnie. Na czarnej kawie urządzonej dla uczestników Zjazdu przez prezydenta miasta, usłyszeliśmy żarliwą i pełną uczucia prelekcję przedstawiciela biura odbudowy Wrocławia inż. Ptaszyckiego, mówiącego o pionierskiej pracy Polski na trudnej wrocławskiej placówce. Na frontonie wrocławskiego teatru widniał witaający pisarzy transparent z napisem „Literaci, piszcie o Wrocławiu”. Na Zjeździe uchwalono rezolucję, podkreślającą ciężką na każdym z pisarzy obowiązek uwzględnienia w swej twórczości treści życia Ziemi Odzyskanych.

Klimat i obrady zjazdu pokazały, że ogół pisarzy polskich pojmuje swe zadanie z społecznego przedświadczenia i związane z nim obowiązki. Ze „jeśli nawet w indywidualnej twórczości pisarze nie zawsze osiągnęli najwyższy stopień realizacji swych własnych dążeń i dążeń najambitniejszych przedstawicieli krytyki, to w każdym razie w swej społecznej świadomości są czułym barometrem współczesnych trosk zbiorowych, mają oczy i uszy na współczesność otwarte.

Ryszard Matuszewski

UCIECZKA Z JASNEJ POLANY

(ciąg dalszy)



ówca opuścił ręce, opuścił głowę, uczynił taki ruch, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale nic nie dodał. Chwilę jeszcze stał na mównicy, poczem wolno z niej zeszedł i tak samo wolno przeszedł salę i usiadł przy swojej delegacji tak samo przerażonej, jak wszyscy inni.

Nie sposób opisać wrażenia jakie to przemówienie, złożone z jednego słowa zrobiło. Sala zamarla. Wszystko pojęła. Nie było chyba człowieka, który by nie pojął co Palestyńczyk miał na myśli. Dużą popularnością na Zachodzie cieszyły się ostatnio pamiętniki z Treblinki, spisane przez jednego z nielicznych pozostałych przy życiu więźniów. Po zbrodni katyńskiej wszystkie obozy otrzymały nakaz ekshumacji ofiar i spalania ich tak, by zatrzeć wszelkie ślady. Obóz w Treblince otrzymał w tym celu kilka bagrów i kilku specjalistów — Niemców którzy bagry obsługiwali. Maszyny rozrywały ziemię na odpowiednią głębokość, Leichenkomando zbierało zwłoki na tragi, a następnie rzucało je na wielkie ruszty, pod którymi dniem i nocą żarzył się ogień. Otóż rozorawszy bagrami ziemię — tak opisuje pamiętnikarz — Niemcy przedrzeźniali głos Żydów: Die tragys! schneller die tragys! Ogromnie się z tego cieszyli. Już w książce scena ta robiła duże wrażenie. Mówca podobno miał przygotowane solidne przemówienie z odpowiednią ilością dobrze brzmiących frazów, lecz spojrząwszy na Niemców „coś się w nim takie go stało, czego nie umie wytłumaczyć”. Palestyńczyk nie potrzebował niczego tłumaczyć, wszyscy go aż nadto dobrze rozumieli. Przez chwilę żar na sali zamienił się w żar pieców krematoryjnych. Klaus Hofer zrzęzygnął z głosu.

Zarówno delegat polski jak belgijski w swych przemówieniach poprzedzających dopiero co opisany występ, oświadczyli, że nie żądają bynajmniej wykluczenia Niemiec z grona narodów europejskich, bo to niestety, nie jest możliwe. Niemcy chcą powrócić do organizacji międzynarodowych? Dobrze. Ale narody przez Niemców tępiące mają przeciw prawo do minimalnego zadośćuczynienia: chcą mieć pewność, że pewnego dnia nie znajdą się przy jednym stole z Niemcami, którzy bezpośrednio, albo pośrednio brali udział w eksterminacjach. Narody okupowane żądają stałej komisji, która wypowie się co do każdego poszczególnego Niemca, mającego być przyjętym do PEN, żądają kontroli nad składem niemieckiej sekcji.

To minimum narody do niedawna okupowane uzyskały. Hofer, który zrzekł się był głosu, wystąpił nieco później. Przemówieniem swoim rozczarował nas, nie miało ono nic wspólnego z przemówieniami, do których przyzwyczaili. Co powiedział? Prosił o zaufanie dla tej grupy Niemców, która pojawiła się na kongresie. Świat — twierdził — może do nich mieć zaufanie. Nie przyznali się do przestępstw, o które oskarża się Niemcy, przeciwnie, sami poznali, jeśli nie kacety, to gorzki chleb emigracji. Przemówienie Hofera utrzymane było w tym duchu. — Grupie niemieckiej — odpowiedział mu z miejsca Francuz N. — nie odmawiamy ani szacunku ani sympatii. Jednej rzeczy musimy im odmówić: zaufania. Nie zaufania osobistego, lecz zaufania, że dadzą sobie radę ze „złymi Niemcami”. W walce ze „złymi Niemcami” „dobrzy Niemcy” zawsze przegrywają. Wszyscy wiedzieli, że Francuz powtarza zdanie Hofera.

Swego miejsca przy stole delegacji amerykańskiej Hofer nie uważał za jedyne. Raz po raz podchodził do stołu Niemców, z którymi ciągle prowadził rozmowy. Nikogo to nie dziwiło. Wśród delegacji znajdował się jego syn, Teodor Hofer, również pisarz, który Hitlera przezebrał w Londynie. Stosunki ojca z synem były jak najlepsze. Podobne były stosunki starego pisarza z Oswaldem Hanemannem, redaktorem periodyku „Die Brücke” wychodzącego w strefie brytyjskiej, w Hamburgu, zdaje się. Nastawienie obu ostatnich, Teodora Hofera i Hanemanna, było antyemigranckie i z tego powodu występowali nieraz

przeciw staremu Hoferowi, zachowując, rozumie się, odpowiedni szacunek. „Ratować co się da, na miejscu, w kraju, razem z narodem” — to były ich hasła. Na zjeździe miało się wrażenie, że Hanemann zupełnie zawojował starca. To też gdy pewnego dnia zaczęły się ukazywać w niemieckiej prasie, wychodzącej w Szwajcarii wiadomości, „że dni wielkiego giewu są policzone”, „że powrót syna marnotrawnego jest pewny”, „wielki starzec postanowił złożyć kości w ziemi ojczystej” nie zdziwiły one nikogo. Tu na miejscu w Z. dramat Klause Hofera, spowszedniał. Przystano się nim w ogóle interesować.

Pewnego dnia polski poseł w Bernie leżał na kanapie i obmyślał pewien artykuł, który miał wysłać do kraju. Nasz poseł był literatem, pozostał literatem i pasjonował się tylko literaturą. Sprawom państwowym poświęcał niewiele czasu, ale i tak był „cenionym dyplomata”, bowiem dla kogoś kto musi wyjaśnić czym jest realizm w literaturze, zrozumienie najzawilszych spraw rezysty życia jest już tylko fraszką. „Zmiażdż go! Zniszcz go!” — szepnął nasz poseł do siebie. Jak wiadomo niszczenie i miżdżenie jest teraz najmłodniejszym prądem w polskiej literaturze. Jeden poeta o drugim poecie — wszyscy i tak wiedzą o kogo chodzi — napisał wyraźnie, iż nie spocznie, póki go nie zniszczy. Nasz poseł leżał na kanapie i nareszcie, „złapał” dwa zdania, które miały zadać cios ostateczny jego antagoniście. Poseł gorzał, gorzały w nim słowa, zwłaszcza dwa „potężne” zdania. — Tak! Tak! — może z dziesięć razy powtórzył „tak”, wreszcie skoczył do biurka, chcąc zanotować te dwa bezcenne zdania. Nie zdążył jednak, gdyż w tym momencie wszedł pierwszy sekretarz z ustami złożonymi w kurzą dupkę. Choć nikogo więcej w pokoju nie było, pierwszy sekretarz podniósł się na palcach nóg, był bowiem młodo wzrostu i szepnął coś do ucha posłowi, który był wysoki. „Kto?” — zapytał poseł gniewnym głosem, nie znosił poufałości, zawartej w szepcie. Pomimo upomnienia podwładny raz jeszcze powtórzył szepciem, musiała to być informacja ważna. „Kto taki?” — zapytał osłupiały poseł. Teraz sekretarz powiedział już głośno:

— Klaus Hofer prosi o wizę do Polski. Chce zwiedzić miejsca martyrologii ludzkiej...

Poczym dodał:

— Z tego wynika, że postanowił do Niemiec nie wracać...

II.



dwie miesiące później, pewnego jesiennego popołudnia stary pisarz ocknął się w pokoju jednego z paryskich hoteli. Znalazł się u granic jawy, tam, gdzie ona jeszcze nie jest jawą, choć już nie jest snem. Klaus Hofer obudził się cały w ranach. Ci, którzy sądzą, iż przez opisywanie swych bólów, pisarz uwalnia się od nich, są w błędzie. Pisarstwo nie leczy, lecz tylko jako praca, jako walka, nie inaczej. Pisarz tym się różni od innych, iż pozostają mu cierpienia plus świadomość. Jak ludziom umierającym na gruźlicę.

W pokoju panowała ciemność, stary nie przepuszczał światła z ulicy. Stary człowiek schował głowę w poduszkę, jak małe dziecko, ale świadomość wstrzykiwana jakby kropielniczką już nie dawała mu zasnąć. Uda miał zjedować. Nie czuł nic życia w sobie, wokół serca czuł szmery, a w nim od czasu do czasu szarpnięcia. „Spotkanie z „Europą” dobiegało końca. Nazajutrz miał wyjechać do Bordeaux, stamtąd do Ameryki. Istnienie Ameryki wydawało mu się w tej chwili dopustem Bożym. „Ludziom wydaje się, iż cierpieć potrafi każdy — przypomniał sobie czyjeś słowa — Nie prawda. Jest to wielka sztuka, dana tylko nielicznym. Mój sen przypomina mi porcję indyka w restauracji: kawałek białego mięsa i kawałek ciemnego. Dobry, posilny, równy sen trwa do pewnej godziny, potem zaczyna się niestrawny kawał czarnego mięsa — jawa.

Podniósłszy się z trudem, podszedł do okna i rozsunął stary. Była godzina czwarta po południu. Ulica nurzała się w słońcu jesiennym, które jest samą łaską, łaską bez ognia, jak uśmiech starca. W chłodnym, złotym świetle przesuwają się kobiety, dzieci i psy. Hofer aż zapłakał w sobie: To, na co patrzył było cudem w każdym drobiazgu. Umiał to ocenić, jak zwykle starzy ludzie, jak zawsze skazani na śmierć już bez względu na wiek. Dłuższą chwilę chłonał życie ulicy, potem wrócił na kanapę, położył się i przymknął oczy. Słyszał jakieś

szmery w pokoju. Ponieważ przypuszczał, że to służący, nie otwierał oczu. Naraz zerwał się, pod oknem stał syn jego, Teodor.

Trudno powiedzieć, czy pojawienie się syna było niespodzianką dla starego Hofera. Na kongresie cały swój wolny czas spędził z synem i z Hanemannem, których ciągle o coś wypytywał. Pytał o wiele szczegółów, które zdumiewały obu obywateli niemieckich. Już z pytań można było wnioskować, że starzec zna doskonale życie niemieckie. Jasne, że wynika sprawa powrotu. Obaj Niemcy powiedzieli wszystko co mogli w obronie swego stanowiska „razem z narodem”. Hofer nie odpowiadał ani „tak”, ani „nie”, w ogóle pomijał kwestię powrotu. Z zachowania się ojca Teodor wywnioskował jednak, że „tak jak ja go znam, ojciec postanowił wrócić. Przez całe życie był człowiekiem rodzinnym, przywykł do gromady, rodzina powoli zbiera się w H., o czym ojciec wie, więc należy sądzić, że zechce być razem, tym bardziej, że zniechęcał, zdradza obywateli, że zniechęcał i potrzeba mu opieki ludzi bliskich”. Teodor kwestię powrotu uważał za załatwioną. Dla doprowadzenia jej do końca postanowił wrócić do Niemiec — do strefy brytyjskiej — aby przygotować ją i na tamtym gruncie. Wyjechał nazajutrz po ukończeniu kongresu, upewniwszy się, że ojciec będzie czekał w Z. W jakim celu Teodor wyjeżdża do Niemiec, o tym się wyraźnie nie mówiło. W warunkach „kwarrantanny”, w jakich Niemcy żyją obecnie, to co miało zająć cztery dni, zajęło młodemu Hoferowi cztery tygodnie. Pewnego dnia z gazet dowiedział się o wyjeździe ojca do Polski; był to cios. Nie wrócił już do Z., czekał. Gdy dwa dni temu Hanemann zawiadomił go, że w drodze do Ameryki ojciec zatrzymał się w Paryżu, postanowił raz jeszcze z nim pomówić.

Klaus Hofer przez długi czas nie mógł ukryć radości z powodu przybycia syna. Ścisnął go z czułością, do której Teodor nie był przyzwyczajony. Usiadłszy wreszcie w fotelu Klaus Hofer spłótł dlonie i złożył je na plezcie, którym owinał sobie nogi. Od widoku tych właśnie starczych, podległych drżących, z przerosniętą kością między wskazującym a dużym palcem, rąk wędrujących po plezcie jak dlonie ślepeca, zrodziło się w Teodorze przekonanie, że ojciec musi wrócić. „To są ręce człowieka pokonanego” — powtarzał sobie na kongresie, w pociągu, potem w Niemczech, aż doszła go wiadomość o podróży do Polski. Od tych rąk nie mógł i teraz oderwać oczu. Przeżęły go i brzydziły.

Teodor:

— W Niemczech twój przyjazd przyjęto jako obelgę. Wzgardziłeś nami dla kraju, który gdyby dziś zniknął z mapy Europy, jutro zaginęła by pamięć o nim. Wzgardziłeś nami dla kraju, gdzie powyżej lat 16-tu nie spotkasz twarzy nie skwaszonej, nie skrzywionej, nie złej. Czy wiesz co teraz mówią w Niemczech? Przeglądają listy pierwszych poległych nazi — hitlerowcy wydali masę ksiąg pamiątkowych, jest z czego czerpać — i wiesz jakie znajdują nazwiska? Cieślak, Maikowski, Szczępek, Stran-ski, Schaffinsky, Gornatowski, Borkowski, Karpiński, Massow, Koziollek, Wielki. Ładne niemieckie nazwiska, nieprawdaż? Na kongresie delegat Polski powiedział do mnie: Hitler napuł na naród polski, budując krematoria na naszej ziemi. Napuł, nie napuł, faktem jest, że gdy wznosiły się dymy z pieców krematoryjnych, masy tamtejsze bogosławiały Hitlera za to, że ich wyręcza, możesz to przeczytać w każdym pamiętniku. Nie wiem, co by było, gdyby Hitler swoje piece postawił gdzie indziej. Heiden twierdzi, że antysemityzm Hitlera nie był antysemityzmem Niemca, lecz człowieka ze Wschodu. Czy wiesz, że na tamtych ziemiach Gestapo nie miało nawet specjalnych ludzi do tropienia Żydów, wystarczały donosy. Ponieważ Nietzsche ciągle jest ci drogi, wiedz, że wybrałeś kraj, który ze specjalną miłością niszczy swoich wybitnych ludzi, jeśli czasami ich wyda. Wszystko co mieli wielkiego, żyło na emigracji. Jedyny muzyk, jakim mogą się pochwalić, przez całe życie żył na obczyźnie i nie oglądał twarzy swych współrodaków, tych złośliwych głupców zanurzonych w wodę, w zarozumiałstwie, a koniec świata widzących za rogatkami swego Pikutkowa. Miel jednego wielkiego malarza w dziewiętnastym wieku. Jego nienawiść do swych ziomków była tak wielka, że za dnia nie wychodził z domu... Tak wygląda kraj, którym posłużyłeś się, aby napuścić na Niemcy...

Stary człowiek przyglądał się swemu synowi. Nic się nie zmienił — pomyślał. Pamiętał go właśnie takim, jaki wyglądał spod tych włosów. Wystarczyło mu przeczytać dwie książki albo zebrać kilka luźnych wiadomości, aby mówić o kulturze obcego narodu. Miał tupet dziennikarza i pióro dziennikarza. Potrafił mówić i pisać o wszystkim i ani wpał, że to co podaje jest

„kulturalną prawdą na poziomie”. Był chamem, kulturalnym chamem, jak 90 procent ludzi piszących. Piszących poprawnie, lecz nie umiejących czytać. Sztuka czytania jest bowiem sztuką większą, niż sztuka pisania. Umieć dobrze czytać, to znaczy nie móc strawić własnej poprawności. Stary Hofer nie znosił gruntowności swego piarstwa. Uważał ją za kalectwo póty, póki nie czytał syna lub jemu podobnych.

Odpowiedział:

— Pamiętasz może również inne słowa polskiego delegata (z twarzą jak nie wypieczona bułka): — Zachód? Owszem, znamy Zachód. Co dwadzieścia lat nasz sąsiad z zachodu najeżdża na nas, zabija albo niewoli naszych ludzi, pustoszy nam miasta, niszczy ogrody, wycina lasy... Słuchając takich słów, przyznaj, iż można czasami nabrać ochoty, aby pojechać dla przeciwwagi. Ale nie potraktowałem swej podróży do Polski jako gestu...

Urwał po to aby czegoś nie dopowiedzieć. Po chwili ciągnął:

— Czy chcesz usłyszeć jak umarł twój przyjaciel, wielki poeta niemiecki, Joachim Schwarz? W roku 1933, gdy myśmy pojechali na zachód, Schwarz wrócił do swego miasteczka rodzinnego gdzieś w Galicji. Żyli tam jeszcze jego starzy rodzice. Ponieważ okazało się, że miał prawo do obywatelstwa polskiego, więc już tam pozostał. Gdy przyszli Niemcy, akcje swe w początkowych fazach przeprowadzali ściśle wedle klucza klasowego. Na początek zażądali biedaków, motywując to troską o odciążenie gmin. Oddano biedaków, rzucono ich na pożarcie. Schwarzowie, którzy byli biedni, pojechali na samym początku — w wagonach z niegaszonym wapnem do krematorium w Bełżcu. Joachim jakoś ocalał. Po między pierwszymi mordami a ostateczną likwidacją zapanował okres względnego spokoju. Względny, bo ofiary naturalnie były. W miasteczku zastąpił pewien żandarm, przezwiskiem Złoty Palec. Stojąc na wasze, Złoty Palec strzelał do żydowskich policjantów za to, że mu się meldowali i za to że się nie meldowali. Od czasu do czasu strzelał w żywy tłum na ulicy, ot tak, dla wprawy. To, że strzelał do policjantów nie przeszkadzało mu pić z nimi. Przychodził w towarzystwie drugiego żandarma, z którego, jak mówił, nigdy nie uda mu się zrobić dobrego Niemca, bo podczas egzekucji mdlał już przy osiemnastym łebku. „So ein Dreck”. Sam Złoty Palec nie mdlał przy osiemnastym łebku, ręka nie słabła mu bez względu na ilość ofiar, miał „złotą rączkę”, stąd właśnie jego przezwisko. Pewnego razu, gdy strzelił w tłum, doniesiono mu, że ofiarę przezeń postrzeloną przechodnie odprowadzili do szpitala. Udał się więc do szpitala. Rzeczywiście, znajdował się tam człowiek postrzelony. Lekarzom udało się wyjąć kulę i nieszczęśnik spał odurzony narkotykami i osłabiony upływem krwi. Gdy Złoty Palec krzyknął, obecni zdumieni byli potęgą wrażenia, jakie na chorym wywarł jego krzyk. Ranny wstał jak w transie, pielęgniarz dopomógł mu się ubrać i na podwórzu Złoty Palec, który narzekał na brak czasu, dobił go. Tak zginął jeden z najczystszych poetów niemieckich, Joachim Schwarz. A czy wiesz kim się okazał Złoty Palec? Naszym fryzjerem Schmiedtkem z ulicy Klasztornej. Pamiętasz Schmiedtkęgo? Pojechałem do Polski, aby raz jeszcze przyjrzeć się Niemcom...

Teodor:

— Tak właśnie tłumaczyłem sobie twój wyjazd do Polski: chciałeś zasilić wysychające źródła, napompuwać się, wzmocnić swą słabnącą nienawiść, wzmocnić słabnące dłonie, taki był cel twej podróży. Bolesie się, że ulegniesz nam... Hanemann miałby więcej powodów do nienawiści. Te sześć milionów, jak mówią, Schwarzów bliźsze raczej były jemu niż tobie, a jednak Hanemann nie tylko zapomniał. To nie ty jego, lecz on ciebie nakłania do powrotu. Uważasz za nieludzkie to, że pisma drukują Wassermanna, Zweiga, powiadasz, że tkwi w tym coś takiego, z czym nie umiesz się pogodzić. W czym? W tym? Nie. Cała filozofia przyrody mści się w tym, że dziś żrą ci, którzy wczoraj głodowali, a za wielkich uważa się tych, których powieszono wczoraj. Są to stałe, niezmiennie dzieje ludzkie. Tylko zatopieni w książkach, oderwani od życia, od jego prawdziwego obrazu, sądzą inaczej. Jeśli powiem ci, żeś uległ Greuel — propagandzie, propagandzie grozy ty — wielki pomiędzy wielkimi, najrozumniejszy z rozumnych, żeś uległ na równi z maluczkimi, pozbawionymi rozumu i wyobraźni, uśmiechniesz się. Nie śmiejesz się! Trąby ogłuszają wszystkich! Nowoczesna maszyna propagandowa jest instrumentem straszliwym, bodaj że najstraszliwszym ze wszystkich. Odbiera ludziom resztki myśli, resztki przekonania. Karmiony w dzień i w nocy przez tę straszliwą, maszynę człowiek no-

woczesny staje się jak wosk. Spędziłeś wojnę w Ameryce, więc znasz wszystkie grzechy narodu niemieckiego, potrafisz wymienić wszystkie obozy zagłady, obozy śmierci. Wiesz, że naród niemiecki był agresorem. Tak, był agresorem! Postawił piec? Tak! Rozstrzeliwał zakładników? Tak! Był taki że to się w ludzkiej nie może zmieścić głowie? Tak! Anglicy twierdzą, że żaden inny naród na świecie nie zniósłby podobnego rządu. Życzymy innym narodom aby się nie przekonały, że z każdym narodem można zrobić to samo. Jak łatwo zniżyć naród, jak łatwo zniżyć człowieka, nawet nie wiesz! Człowiek jest kruchy i ludzkość jest krucha! Francuzom i Anglikom wolno powtarzać, że tylko z nami można było to zrobić, są to przecież wrogowie, ale ty? Ty Niemiec, albo jeśli wolisz, człowiek? Ty, który stoisz z wagą aptekarską w ręku i ważysz cierpienia ludzkie? Dlaczego na swą wagę nakładasz cierpienia wszystkich, prócz naszych. Agresorzy? Tak! Zbrodniarze? Tak! Ale ty nie masz prawa być tylko politykiem. Dla ciebie cierpienia powinny być cierpieniami bez względu na wszystko. Dlaczego oczami, którymi potrafisz dojrzeć ofiary innych, nie dostrzegasz również naszych? Dlaczego nie widzisz kasańnych przez mróz i skwar żołnierzy niemieckich, w dalekich stepach rosyjskich, żołnierzy zniechęconych przez wszystkich, bez prawa do refleksji, jeśli chcieli żyć? Dlaczego nie widzisz niemieckich matek i dzieci całymi latami oblewanych siarką przez Anglików? Dlaczego nie słyszysz beznadziejności, jaka tukała się w naszych sercach w ciągu ostatnich lat? Niemcy dotarli do słupów granicznych? Tak! Lecz ile sami wycierpieli! Hanemann powtórzył mi pewien drobniaczek: Lekarz, Żyd ze Wschodu, który utrzymuje się teraz w Paryżu z zycia spodni, zimą 1943, święto po Stalingradzie zetknął się z niemieckim żołnierzem. Był to gemajner, który wszedł do składni przekonany, że spotka tam Niemców, zwiódł go szyld. Lekarz widział jego oczy, usta. Masz go tutaj, mówił sobie, zabij go! Nawet trudno było odczuć złość, patrząc na tę żołnierską nędzę o oczach podobnych do oczu Żydów ładowanych do wagonów. Wiesz co sobie wtedy ów lekarz powiedział? Niemcy skazują Żydów na tak potworne cierpienia być może dlatego, że sami tak okrutnie cierpią, zapędzili się w ślepa ulicę... Kto bardziej niż ty powinien nachylić się nad cierpieniem niemieckim? Dlaczego odmawiasz swych oczu i uszu tym, którzy mają do nich największe prawo?

„Tam!” „Tam!” — Klaus Hofer przyknął oczy z nagłego bólu. W ostatnich dniach często zapadał na chorobę „tam”. Był to wewnętrzny pęd nie znoszący rozumowania, wykluczający zdolność rozumowania, szłań krwi, wola aby jak najprędzej i za każdą cenę znaleźć się tam — w odczytanie! Od kilku dni choroba tam nawiedzała go wyjątkowo ostro. Uległ jej i teraz słuchając, a raczej nie słuchając przemówienia syna.

Teodor bacznie przyglądał się ojcu. Miał coś wyczuć, bo zmienił ton:

— Więc co? Więc znowu chcesz się skazać na udręki emigracji, na życie w wspomnieniach, które zmieniają w błoto wszystko co się dzieje w czasie teraźniejszym, na życie we mgłę, która rozkłada duszę, w tęsknocie, która jednym podsuwa alkohol, a innym myśli samobójcze. Jeśli dziś się zatniesz, ambicja nie pozwoli ci wrócić już nigdy, ambicja, która nie ucisza przecież nostalgii. Czy mam ci przypomnieć list twój pisany po mszy za duszę młodego W. Mały kościółek, ksiądz, organy i siedmiu Niemców, siedmiu emigrantów, samotnych samotnością nie z tego świata. Beznadziejność siedmiu ludzi pomnożona przez obywatelstwo siedmiu milionów naokoło. Siedmiu ludzi, którzy po nabożeństwie uciekają od siebie, aby nie patrzeć na odbicie własnej beznadziejności w twarzach przyjaciół. Pisałeś, że była to msza za wszystkich Niemców po za granicami kraju. Emigracja! Człowiek chodzi po ulicy i nie widzi, i nie

słyszysz, i płacze w sobie. Niech nam nie mówią o wolności! Od urodzenia do zgonu miotamy się, przywaleni ciężkimi kamieniami zależności, choć ledwo uda nam się wystawić palec już wołamy: wolność! Wolność! Jesteśmy skazani na naród! Jesteśmy zależni od niego! Jesteśmy jego językiem tak jak on naszym. Nie ma wolności poza narodem! Wszystko jemu zawdzięczamy. Niemcy! Któż z nas chciałby być teraz Niemcem, gdyby nim być nie musiał! (Szczęście trzeba mieć nim się człowiek rodzi). Ty, który prawdopodobnie żyć będziesz w pamięci narodu, dlaczego chcesz mu zostawić swą wzgardę? Dlaczego chcesz nam zostawić okrutny tytuł „budowniczych krematoriów” a sobie miano „człowieka, który nie wybaczył”?

— Pamiętam ten list — odpowiedział Klaus Hofer. — Później nie napisałem podobnego listu. Można uwolnić się od zależności, trzeba nauczyć się kochać życie.

Jednej rzeczy własnie emigracja go nauczyła: kochać dary życia. W odczytanie nigdy nie zwracał uwagi na to, ile ładnego przynosi mu ono na każdym kroku. Na emigracji pomiędzy nim a obcym społeczeństwem wznosiła się stała żelazna kurtyna. W pierwszym roku swego pobytu za granicą mieszkał w hotelu. Pokoje obok zajmowała jakaś rodzina z małymi dziećmi, które tak trząsały drzwiami, że aż podskakiwał na łóżku. Raz wyszedł aby skarcić dzieciaka. Ale dzieciak zobaczywszy go podbiegł doń i zapytał: English? No — odparł Hofer i z miejsca przeszła mu złość. Gdy wrócił do pokoju, stwierdził, iż malec kredą wymalował mu czwórka na szlafroku. Uśmiechnął się również z tego. Potem polubił nawet hałasy dzieci. Pokochał ten głos życia, które na obczyźnie tak rzadko odzywało się doń. Więżniowie kochają muchy, myszy, pająki. Emigranci również nie mają wielkiego wyboru.

Dość:

— Trzeba nauczyć się widzieć świat w całości.

— Otóż to: świat w całości! — krzyknął Teodor — Rytm świata! Musiałoby wreszcie paść to słowo. Nie mów mi o rytmie świata. Nie ma go i ty nie słyszysz go, tak jak nie słyszysz nigdy rytmu niemieckiego człowieka. Pełno rekwizywów niemieczyny w twoich książkach, ale nie ma człowieka. Nie potrafisz nigdy być w środku; nie posiadłeś tej sztuki, która tak nas zachwyca u Rosjan. Przez całe życie byłeś właściwie tylko stylistą!

Klaus Hofer wiedział, że syn go „nie uznaje”. Myśl ta, która niegdys sprawiała mu uciechę, z czasem przestała go bawić i w rozmowach z Teodorem czuł się nie najpewniejszy, jak zawsze wrażliwy, których świadomość wrogości „zapeśza”. Teodor dotknął czulego miejsca, dziś już znacznie mniej czulego niż dawniej, bowiem w ciągu lat Klaus Hofer zrozumiał, „iż wiele jest mieszkań w domu ojca mego”, że pisarze są różni i dobrze, że są różni, bo epoki dobierają ich sobie zależnie od potrzeb. Klaus Hofer przez długie lata, jak wielu pisarzy na Zachodzie, ulegał fascynacji wielkich Rosjan, a zwłaszcza Teodora Michajłowicza Dostojewskiego, po którym nazwał nawet syna, tego właśnie który stał przed nim i miotał oskarżenia. Dostojewski pisał właściwie jak głodujący student, jak sponiewierany urzędnik ostatniej kategorii, którego popychają w biurze, a potem lży żona, nie mająca czym nakarmić gromady piszących z głodu dzieci. Spod wszystkiego co pisał przeświecał cuchnący nędzą nieszczęśnik, którego jednakże w jego duszonym, zawałonym rupieciami pokoju, wśród poświstujących gruźliczych oddechów śpiących dzieci budził czasami szept Boga. Dostojewski przez całe życie był nędzarzem i nie miał żadnych danych na to, aby wzbudzić szacunek swych kolegów ani jako człowiek, ani jako pisarz. Fascynować

współczesnych może tylko ktoś, kto piarstwo posuwa o krok naprzód, a nie o milę, nie ktoś czyje piarstwo jest zaprzeczeniem piarstwa, bo jest samą genialnością.

W losie Hofera nie było żadnej analogii z losem Rosjanina. Przeciwnie. To czego tamten nigdy nie zdobył, Hofer osiągnął lekką ręką: szacunek środowiska piarskiego. Był wspaniałym stylistą. Uważano go za czarodzieja stylu, który porównywano z uśmiechem pięknych i łatwych kobiet. Dopiero po latach Hofer doszedł do wniosku, że właśnie styl był jego klęską. Rzeczy „robione na styl” nie przechodzą przez tamę historii. Przez tamą tę przedostaje się jedynie nagi ładunek, który z czasem sam staje się stylem. Dostojewski nie miał stylu, miał styl wiecznej narracji, nie mógł mieć stylu człowieka, który nie ulegał słowom, nie bawił się nimi, którego stylem była sama odkrywczność, sama funkcja odświeżania człowieka. Dokonawszy tego odkrycia Klaus Hofer zaczął się buntować przeciw samemu stylowi, ale cóż? Siedział w nim jak w pudełku. Cierpiał, ale cierpienia wyjąławiły go, więc przestał się buntować. Mówił sobie: piszę jak mogę. Nie mogę dawać opowiadań ze śladami niezakrzepłej krwi, nie mogę schodzić na dno, jestem na to zanadto ucywilizowany, europejski. Daje rzeczy utkane z nastrojów, choroby, artystowstwa, kto wie, może nawet lepiej, że nie podaję ich nago, że ozdabiam je stylem. Nagie może być razily... Klaus Hofer odszedł potem od Dostojewskiego, zapomniał nawet o dramatach, jakie przeżywał w związku z nim. Uspokajając się, nauczył się nie lubić Dostojewskiego. Widział w nim to samo co inni: chorobliwość, rozkładowość. Ostatnio myślał znów o Dostojewskim w związku z paroma zdaniem, jakie znalazł w jednym ze swych starych dzienników: Clagnie za mną — pisał — świat kupałów, radców, artystów, świat mieszczański, od którego nigdy się nie uwolnię. Ten świat jest porządnym, tak porządnym, jak tylko Niemcy być potrafia. Upadek w tym świecie nigdy nie bywa ostateczny, bezdenny jak u Rosjan. I dlatego ja „kość z kości tego świata” nigdy, dna Rosjan nie osiągnę... Na marginesie zeszytu Klaus Hofer dopisał czerwonym ołówkiem: Podczas drugiej wojny światowej naród niemiecki nie cofnął się wół drogi, zaszedł daleko, dalej już nie można, a jednak pozostał po dawnemu porządnym, tępo-porządnym. Niemcy nie zrozumieli i nigdy nie zrozumia tego co uczynili. Klaus Hofer jest jednym z nich. Dlatego nie był i nigdy nie będzie podobny do wielkich Rosjan. Jest i pozostanie europejskim stylistą...

— Byłeś tylko stylistą — wołał Teodor, nie mając pojęcia co porusza w ojcu — nigdy nie tkwiłeś w środku życia niemieckiego. Pomiędzy tobą a człowiekiem niemieckim wzniosła barierę ze słów. A ja ci powiem, że nie masz prawa sądu nad niemieckim człowiekiem, który przede wszystkim walczył o utrzymanie swego nędznego życia i za to wiele mu wybaczonego będzie. Żył w kraju miodem i mlekiem płynącym, który wojnę znał z filmów, a naloży z kawałów Orsona Wellesa. Nie znalazłeś biblijnego przekleństwa bytu ludzkiego. Oddaliłeś się od żywego życia i w osamotnieniu i oderwaniu od żywych źródeł wyrosła w tobie twoja idea nie przebaczenia i podbiła cię. Idea ta mogła cię podbić dlatego, że nie ma w tobie współczucia. Nie stapiasz się z człowiekiem cierpiącym, głodnym, marzącym, walczącym. Nie było i nie ma cię w walkach, w głodzie, w chorobach narodu. Nie było cię nigdy w beznadziejności, w rozpaczni niemieckich kobiet i dzieci. Jest w tobie oschłość myśli, wyjątkowość myśli, będącej zaledwie cząstką prawdziwej istoty życia. Ojciec, sens życia nie mieści się w idei — w żadnej! Życie jest czymś daleko więcej. Ojciec nie wie odwaga wyjść ze swego bohaterstwa tak, jak miałeś odwagę wstąpić w nie. Pomóż nam ratować Niemcy! Bądź z nami! Dwadzieścia osób straciło naród w przepaść, ale ręce nas wszystkich nie wystarczą, aby go z dna wydobyć. Jest nas mało, niepokojąco mało. Ojciec! Niemcy są na dnie. Są głodne, zmarnięte, dobite troskami o chleb, o dach nad głową a nie są to troski sprzyjające zainteresowaniu dla dramatów wewnętrznych — stąd głównie płyną nieporozumienia pomiędzy tobą a narodem. Wiesz o tym, że każda niemiecka dziewczyna można mieć za paczkę papierosów. Ten karny, tak porządnym doniedawna naród stał się jednym z najbardziej złośliwych narodów na świecie. Gdy się człowiek o człowieka otrze w tramwaju, w kolejce podziemnej, pierwszą myślą oba będzie: sprawdzić kieszenie! Większość z nich nie wie nawet, że żyje na dnie. Ratuj wraz z nami Niemcy! Ilekróć porównywałem moją generację z twoją, tylekróć stwierdzałem upadek, ale ta degrengolada jest niczym w porównaniu z tą, jaką da się stwierdzić na nowej generacji. Ludzie nowego chowu różnią się od nas tak

ADAM WAŻYK
MITY RODZINNE
POWIEŚĆ
WYDANIE DRUGIE
„CZYTELNIK” CENA: ZŁ. 600

jakby byli oddaleni o setki lat w czasie. Ja sam byłem zdumiony stwierdziwszy, jak daleko odsunął się od nas nowy człowiek, przemiana tak gruntowna wydawała mi się niemożliwa. Gdy ty rośniesz w głąb, oni odchylili się i rosną w całkiem innym kierunku. W kinie czy w teatrze stwierdzasz, że ich reakcja jest zupełnie nie podobna do naszej. Pękają ze śmiechu, gdy człowiek naszej generacji tonie w zamyśleniu. Gdy człowiek naszej generacji z oburzeniem opuszcza salę, jeszcze na rogu ulicy dochodzi go ryk ich śmiechu. Nał Europejczykiem trzeba zmówić Requiem. Temu wszystkiemu ty przeciwstawiasz odmowę powrotu. Możesz to czynić tylko dla tego, że patrząc w głąb nie widzisz co się dzieje naokoło. Garstka nas została ludzi, którzy chwytają twój dramat. Reszta nie rozumie nawet o co ci chodzi. Jeśli chcesz, aby twój dramat stał się dla nich zrozumiałym, pomóż nam ich odrodzić. Ojcie, działasz w próżni. Na widowni nie ma nikogo...

Przez cały czas przemówień i dowodzeń syna, Klaus Hofer nie bronił się. Nie przytoczył ani jednego argumentu — wszystkie już był podał, napisał, powiedział. Już sto razy zbijał racje, które teraz syn wytaczał. Przywykł do tego, że musiał raz po raz powtarzać to co napisał, i co jak utrzymywano, wszyscy znali. Pamięć ludzka to sito. Świat od początku mówi to samo, pomimo to każdej generacji wydaje się, że mówi o czymś całkiem nowym, nikomu dotąd nie znanym. Klaus Hofer zrozumiał, że ludzkość nie odeszła właściwie w wielu kwestiach od elementarza. Słuchając syna nie myślał nawet o odpowiedzi. Gdy Teodor zauważył: Tobie się zdaje, że Niemcy pasjonują się twoim dramatem? Nie, oni pasjonują się tylko słoniną — starzec przypomniał sobie zdanie pewnego Francuza, że nie ma w tej chwili ważniejszego dramatu w Europie, która powinna się uciszyć, aby lepiej usłyszeć to, co się dzieje w sercu starego Niemca. Nie myślał o podjęciu dyskusji na temat swego postępu. W głowie tłukł mu się obraz jakiejś ścieżki w parku, usłanej żółtymi liśćmi. Od czasu do czasu czuł klucza w sercu. Przed przyjściem Teodora marzył o tym, aby stało się coś takiego co zmusiłoby go do pozostania, panicznie bał się podróży. Chwilami wierzył, że na pewno stanie się coś takiego, co zmusi go do pozostania. Ale teraz słuchając Teodora uprzytomnił sobie, że na pewno jutro pojedzie do Bordeaux, a stamtąd dalej.

Rzekł:

— Co mam Niemcom za złe? Stali przed największymi cierpieniami, które sami wywołali i prawie, że nie było wypadku, aby ktoś powiedział: Nie, zbrodnia doszła kresu, ja ręki nie przyłożę. Dlaczego się nie zbuntowali? Proszę, nie przerywaj mi, dlatego, że interes Niemiec by na tym ucierpiał. Dobro narodu wymagało dyscypliny. W imię czego ja mam na tacy podać swoje przebaczenie? Wytłumaczcie mi: Dla dobra narodu, dla zbawienia Niemiec. Czy dobrze cię rozumiałem? Wracam z Polski. Z Oświęcimia pojechałem w góry. To niedaleko — doradzono mi — a odpoczniesz pan. Góral, który obwoził mnie i mojego towarzysza po okolicy opowiadał nam o bandzie „Ognia”, która do niedawna grasowała na tamtych rejonach. Góral mówił z ledwo tłumionym zachwytem o napadzie na kolejkę linową. Konduktora, który nie chciał zatrzymać kolejki rąbnął na odlew z pepeski, tak, że „główka spadła”. Potem banda napadła na spółdzielnię w pobliskim miasteczku i popiła się skradzioną wódką. Po otoczeniu przez milicję dwudziestu ludzi „Ognia” przebiło się, sam „Ogień” pozostał. Zastrzelili się ostatnim nabojem, żył potem jeszcze dwie godziny. „O”, miał rozum ten „Ogień”, był pułkownikiem w polskim wojsku przedwojennym. Góral, który nas obwoził, był jeszcze młodym człowiekiem. Zapytałem przez towarzysza czy żonaty. „Nie, nie chcę się żenić, po co komu zwracać głowę? Będzie wojna. To jest zawieszanie broni. Codziennie spodziewa się powołania do wojska. Najciekawszą jednak rzecz powiedział na końcu: My Polacy już nie wierzymy w Boga. Niektórzy uważali, że trzeciego maja nie należy świętować... Trzeci maj jest starym polskim świętem. Nowy rząd, który chce pogłębić związki narodu ze świętem pracy, zalecał świętować pierwszy maja. Opozycja popierając stare święto wmieszała w to Boga i chłopci uwierzyli, że to sprawa Boga. Ciemni chłopcy? Nie, masy w Ameryce nie mają ani trochę jaśniej w głowie niż ten góral. Słuchając go pomyślałem, że oto znów wchodzimy w okres symbolów, symbole znów wzrosną, na biorą na siłę. Kto wie, czy w przyszłości nie czekają nas znów pieczę? Dym jeszcze świeży, a ja już mam się pchać z przebaczeniem? Jeśli w przyszłości dzięki memu protestowi choć jeden Niemiec nie zgodzi się na rolę Kremera czy Hessa, zadanie moje będzie spełnione.

— Ojcie — świat nie dostrzeże nawet twego przykładu. Czynem swoim nakazuje rozkazy sprawdzać w głębi sumienia, ale pomyśl, ale się zastanów: Tamci za odmowę spełnienia obowiązków przy piecach narażali się na to, że sami będą do tych pieców wrzuceni, a ty? Ty w rezultacie swego protestu zmieniasz Niemcy głodne jak Chiny, zimne jak Syberia na kraj miodem i mlekiem płynący, na kraj przekarmiony. I to jest twój czyn?...

— Jest rzeczywiście mizerny, ale na to ja nie mam, niestety, rady. Nie ma zresztą czynów, których świat nie mógłby podać w wątpliwość. Jak nie ma „niewątpliwych” dzieł sztuki — odparł stary człowiek i uczynił taki gest, jakby prosił o zmianę tematu.

Teodor nie zmienił jednak tematu:

— Dbasz o aureole, o blask nieba nad... workiem bebeców, a wiesz co mówią? Że jesteś żywą kopią generała SS Wencela, który ma na sumieniu sto tysięcy jeńców sowieckich. Zagłodził ich na śmierć.

— Słyszałem i o tym.

— Wiesz jak Hanemann nazywa twój czyn? Ucieczka z Jasnej Polany. Stary Teodor gdy nie mógł już dać światu ani „Wojny i Pokoju”, ani „Anny Kareniny” ani „Śmierci Iwana Iljicza” zamiast tych arcydzieł dał czyn na miarę dwunastoletniego chłopca: uciekł z domu.

Stary człowiek uśmiechnął się. W ostatnich czasach książki istotnie odpłynęły od niego, stracił zainteresowanie dla nich. I dawniej przeżywał podobne okresy. Pisarze zbyt długo pracują w jednym materiale, zbyt długo projektują, aby się nie buntować, aby nie chcieć „wyskoczyć z siebie”. „Ten czyn dwunastoletniego chłopca” — to sen poetów. „Uciec z Jasnej Polany” — o tym marzy właściwie każdy twórca. Ale to, co teraz przeżywał Klaus Hofer miało charakter głębokiego kryzysu. Prawda którą pojął ostatnio musiała natrafić na swoją glebę. Głębiej i trwalej niż kiedykolwiek pojął, że czymś innym była zasada życia a czymś innym sztuka, że nie było między nimi pomostu. Lenym nurtem płynęła zasada życia, innym twórczość. Teraz gdy spodziewał się śmierci, gdy duch jego miał ulecieć i rozpuścić się w wielkiej niewiedzy, sztuka przestała dlań mieć znaczenie.

Stary człowiek spoglądał na syna: Był to mężczyzna już dobrze dojrzały, choć oczom ojca jawił się ciągle jako ktoś w najlepszej młodości — jasny, jasnowłosy, o nieskazitelnych nordyckich rysach. Niegdyś w młodości Klaus Hofer marzył, aby tak wyglądać, pisał nawet o tym. Ten typ urody zachwycał go. Potem przekonał się i do innych, do ciemnych twarzy, nauczył się kochać inne twarze, jak malarz krajobrazy, które go dotąd odpychały. Patrzył teraz na syna oczami świadomych zmienności upodobań ludzi jak przedtem miledzących milczącym świadomym zmienności ich sądów.

Już dłuższą chwilę stary człowiek miał oczy zamknięte. Syn z przerażeniem spoglądał się jego białej, ciężkiej, zastygłej masce.

— Ojcie — wyszeptał.

Klaus Hofer otworzył oczy. Grymas na wąskich, skośnych ustach rozszerzył się, miał to być prawdopodobnie uśmiech.

— Żle się czujesz?

Stary człowiek potwierdził ruchem głowy. Bez złości dał synowi znak, żeby sobie poszedł. Chciał zostać sam.

Dotknawszy klamki, Teodor rozmyślił się. Wrócił do starca, nachylił się nad jego brzydkiemi, z wystającą kością rękami i ucałował je. Poczuł niezdarne, drżące dłonie na twarzy.

III.



azajutrz około godziny dziesiątej rano Teodor otrzymał telefoniczną wiadomość, wzywającą go natychmiast na rue Pierre Charonne, gdzie w hotelu Chateau de Frontenac mieszkał ojciec. Klaus Hofer od lat nie rozstawał się ze swym służącym Filipem, nie wiele młodszym od siebie. Ponieważ służący z lenistwa czy też z głuchoty nie reagował prawie na dzwonek, Hofer obwiązał mu rękę sznurkiem, którego drugi koniec miał zawsze u siebie. O dru-

giej w nocy Filip leżąc już w łóżku poczuł dwukrotnie silne szarpnięcie. Ponieważ ono natychmiast ustało, stary służący pozostał w łóżku, mówiąc sobie, że wstanie gdy szarpnięcie się powtórzy, czyli wtedy, gdy okaże się rezultatem nie nastroju, lecz istotnej potrzeby. Szarpnięcie nie powtórzyło się i służący przespał do rana. Gdy około ósmej wszedł do swego pana, zastał go bez życia. Śmierć nastąpiła w nocy na skutek udaru serca. Lekarz orzekł, iż gozdźna druga podana przez Filipa jest bardzo prawdopodobna. Na szafce nocnej leżała Biblia, a następujące słowa w Deuteronomium były zakreślane ołówkiem: I wróci cię Pan do Egiptu w okrętach, drogą, o której ci powiedziałem: Nie oglądasz jej więcej; a tam zaprzędasz się będziecie nieprzyjaciółom swoim za niewolniki i niewolnice, a nie będzie ktoby was kupił.

Podczas gdy Teodor oddawał się rozpaczy na widok pergaminowej istoty, której siła moralna do wczoraj była jeszcze tak wielka, Hanemann, który przybiegił wraz z nim do hotelu, rozważał sprawę pod kątem politycznym. Równocześnie z wyjazdem Teodora do Niemiec pewne sprawy wymagały obecności Hanemanna w Paryżu. Tu dowiedział się o wyjeździe starego pisarza do Polski, a następnie o jego przejeździe przez Paryż. Telegraficznie zawiadzał Teodora, który się zjawił. Z wczorajszej rozmowy najbardziej powtórzoną mu przez młodego Hofera Hanemann wynioskował, że starzec nie odmówił definitywnie, że dojdzie do drugiej rozmowy.

Bardzo szybko Hanemann doszedł do wniosku, że zwłoki powinny wrócić do Niemiec. Znalazłszy się sam na sam z Teodorem spytał go, gdzie mieści się rodzinny grób Hoferów. W Niemczech, w H. — Hanemann uważał to za okoliczność wyjątkowo pomyślną. — W takim razie i ojca trzeba pochować w H. obok twej matki. — Matka moja umarła we Włoszech w Neapolu i tam ją pochowaliśmy. — To nie ma znaczenia, o tym nikt nie pamięta — odrzekł po chwili Hanemann.

Przełamawszy nieznaczny zresztą opór Teodora, Hanemann w krótki czas potem z gotowym planem udał się do ambasady brytyjskiej, gdzie przysiadł do niego dość podejrzliwie, bo był to akurat okres, kiedy Anglii we wszystkich podejrzewali terrorystów palestyńskich. Miał pewne trudności z wytłumaczeniem woźnemu i niższym urzędnikom o co mu chodzi, ale gdy dopuszczono go przed oblicze drugiego sekretarza, ten rzecz pochwylił w lot. „Szczątki doczesne wielkiego syna wracają do ojczyzny” pomyślał gotowym nagłówkiem z gazety. Takie właśnie i podobne nagłówki znalazły się w dziennikach, które ukazały się po południu. Jednakże w wielu dziennikach nagłówki zaopatrzone były w znak zapytania. Jeden z dziennikarzy napisał wręcz, że gdyby się coś takiego stało, byłoby to aktem gwałtu na zmarłym. Skoro żywy odmówił powrotu, Niemcy nie mają prawa do zwłok.

Jeszcze tego samego wieczoru ambasador amerykański odwiedził swego brytyjskiego kolegę, aby założyć uroczyste veto. Rozmowa Amerykanina było konkretne: Człowiek nie żyje. Niezjący człowiek obwieszcza swą ostatnią wolę listem. Takiego listu nie znaleziono. Więc co? Więc o czło-wieku decyduje jego paszport. Jaki paszport posiada zmarły? Amerykański, więc zwłoki należą do Ameryki, ściśle do ambasady amerykańskiej w Paryżu, która wysła je „Franklinem” — statkiem, którym żywy Hofer miał wrócić do Ameryki. — Rozumowanie bardzo słuszne — odparł ambasador brytyjski — rozumowanie iście amerykańskie, przynoszące zaszczyt krajowi, który uczy swoich synów myśleć tak bystro i konkretnie. Niestety, rozumowanie to ma lukę, nie uwzględnia uczuć europejskich. W Europie każde dziecko wie, że śmierć zamyka pewne klótnie. Klaus Hofer klócił się ze swym narodem. Wolno mu było. Ale teraz gdy umarł, te klótnie są już bez znaczenia, obie strony już sobie wybaczyły. Europa zawsze klęka przed majestatem śmierci. O tym, rzecz jasna, dyplomaci amerykańscy mogą nie wiedzieć. — Owszem — odparł Amerykanin — Ameryka wie, że Europa klęka przed majestatem śmierci. Amerykańscy żołnierze na własne oczy oglądali to kłękanie Europy przed majestatem śmierci — w Buchenwaldzie np. i w dziesiątkach innych obozów. Amerykanie znają ten szacunek, który rzuca Europę na kolana przed majestatem śmierci, Ameryka nie żywi tego szacunku, jej chodzi o co innego. Ameryka ma potężne zbiory dzieł mistrzów europejskich, w przyszłości Ameryka wykupi całą wioską sztukę i francuską sztukę, są nawet tacy, którzy chcieliby Paryż cały przenieść za ocean (bez mieszkań-

ców). Teraz chodzi o to: mamy zbiory mistrzów, lecz nie mamy samych mistrzów, to znaczy ich szczątków doczesnych, jak się wyraził brytyjski kolega. Postanowiliśmy zmienić ten stan rzeczy. Zwłoki Mussoliniego już przewieźliśmy. Teraz przewieźmiemy Klauza Hofera.

W Paryżu, jak w Łodzi, życie jest jawne i nie ukryć się nie da. Cała ta rozmowa w brzmieniu prawie dosłownym dostała się na łamy prasy. Gdy nazajutrz delegacja pisarzy francuskich przysłała z kwiatami do Chateau de Frontenac, dyrektor przyjął ich z wycekującą miną. Potem przypomniał zupełnie gadającego ptaka. W miarę jak mówił, zdumienie słuchaczy rosło: fakty dziwiły pisarzy bardziej niż kogokolwiek, choć na rozum wzięwszy nie ich dziwić nie powinno. Ciało Klauza Hofera zabrano, ściśle: skradziono ciało Hofera.

Wieczorem Paryż huczał. Dziennikarze łamali sobie głowę, kto mógł wykraść zwłoki. Z artykułów, jakie się na ten temat ukazały, spróbujemy streścić jeden: Wielki pisarz i wielki człowiek nie chciał za życia udzielić rozgrzeszenia swemu narodowi. Zniechęcony do swoich książek, które jakkolwiek bardzo rozpowszechnione, nie zmieniły niemieckiego człowieka, wkroczył na teren działalności politycznej. Tutaj ważnym stał się jego, szeroko znany zresztą czyn: Przez odmowę powrotu do ojczyzny, pisarz chciał zmusić Niemców do zastanowienia się nad tym co uczynili, chciał utrzymać oskarżenie. Z tym wspaniałym gestem umarł. Cały ten piękny wysiłek niektórzy chcą dzisiaj wylać jak szklankę przestajej wody... Wobec braku testamentu Amerykanie mają prawo do zwłok, ale Brytyjczykom one by się bardziej przydały. Po pierwsze, aby Niemców wybielić, po drugie, nie bardzo mając czym karmić swoją strefę chcą jej dać parudniową pompę żałobną. Po nieważ prawnie zwłoki należą do Amerykanów, Brytyjczycy ukryli je. Ale z ukrytego ciała nie mają pożytku, zaś ujawnić zwłok nie mogą, bo Amerykanie przy pomocy policji francuskiej natychmiast je zaarrestują. Pragnąc „odmrozić” ciało ambasadora brytyjski spotkał się wczoraj po raz drugi z ambasadorem amerykańskim i zdaje się, że „dwaj dzentelmeni” doszli do porozumienia. Amerykanie wyrzekną się kompletowania zwłok za cenę pewnych awansów w składzie dyrekcji przemysłu stalowego w Ruhrze. Brytyjczycy i tym razem ustąpią, ale Paryż? Co na to Paryż? Czy dopuści aby najpiękniejszy gest moralny ostatnich lat tak haniebnie zbezczeszczone?

Artykuł ten ukazał się w L'Humanite. Nazajutrz katolicy wołali w swoich dziennikach: Mamy nareszcie pismo apolityczne. L'Humanite przekształciło się w organ apolityczny, o czym zawiadomiam nas w związku ze znaną sprawą Hofera. Nasi krajowi cudzoziemcy odsionili nową kartę: apolityczną. Bądźcie spokojni — nie na długo... Ale nazajutrz sami katolicy gruntownie zmienili front. B. jeden z ich największych autoritetów, „znany gwałtownik” wystąpił przeciwko obrażaniu sumienia ludzkiego. „Sumienie zbyt długo poniewierało się na śmietniku, stąd ten powszechny brak zorientowania co do charakteru i znaczenia dramatu Hofera. Sprawa Hofera nie jest drobiazgiem, jest jednym z najpiękniejszych, najbardziej wzruszających dramatów, jakie mamy w tej chwili na świecie. My katolicy jesteśmy przeciwko gwałceniu woli człowieka!”. Wystąpienie B. stanowiło punkt zwrotny. Z wyjątkiem prasy, jawnie kontrolowanej przez „dwóch dzentelmenów”, cała reszta wypowiedziała się ostro przeciwko oddaniu zwłok Niemcom. Doszło do demonstracji ulicznych.

Pewnego dnia w okresie największego roznamiętania, w prasie pośrednio lub bezpośrednio kontrolowanej przez „dwóch dzentelmenów” ukazała się następująca wiadomość: Czas potrzebny na przewiezienie zwłok Klauza Hofera do Bordeaux, w celu umieszczenia ich na statku „Gloria”, odpływającym do Ameryki, niektóre pisma wykorzystwały dla ataków przeciwko Stanom Zjednoczonym i Anglii. Domyślamy się, komu zależy na szerzeniu fermentu we Francji. Dla uspokojenia umysłów i rozładowania atmosfery komunikujemy, iż szczątki doczesne wielkiego Niemca odpłynęły w dniu dzisiejszym z Bordeaux. Tym samym „sprawę Hofera” uważać należy za zamkniętą.

Zwłoki Hofera istotnie tego dnia odpłynęły do Ameryki. Jednakże w pół roku później wróciły do Niemiec. Uroczystości z tym faktem związanych nie mam potrzeby opisywać. Znajdziecie je we wczorajszych dziennikach.

Adolf Rudnicki.

LEON GOMOLICKI

DROGA DO ROSJI (III)

6. NARODZINY LIRYKI

W 1824 roku Rylejew, bawiący przejazdem w Moskwie (w drodze powrotnej od Pestala, w przeddzień spotkania z Mickiewiczem) odwiedził M. Narayszkina. W dość liczny towarzyszyście Rylejew czytał swoje „Dumy”, a wszyscy nie krapując się mówili o konieczności „d'en finir avec ce gouvernement”. Rozmowy te zrobiły ogromne wrażenie na młodszym kuzynie gospodarza, A. Koszelewie. Już następnego rana powtórzył to, co słyszał swojemu koleźce Iwanowi Kiriejewskiemu. Z nim razem udali się oni z rewelacją do Dymitra Wieniewitnowa, który mieszkał wspólnie z Rożalinem. Do późnej pory omawiali młodzieńcy kwestię zmiany ustroju politycznego w Rosji. Była to czwórka rówieśników — 18-letnich „młodzieńców archiwalnych”. Współpraca ich grupy literackiej z dekabrystami datuje się od tego roku 1824 kiedy Kuechelbecker założył razem z Włodzimierzem Odojewskim „Mnemozynę”. Tym większym wstrząsem stały się dla „miłośników mądrości” fatalne zajęcia 14 grudnia. Postanowili przerwać swoje tajne zabrania, a Włodzimierz Odojewski spalił protokół debaty filozoficznych. Mimo to koło nie rozprószyło się, przeciwnie, wystąpiło wkrótce jako zwarte ugrupowanie



Mikołaj Karamzin

literatów uznających się za reprezentantów i prawodawców młodego pokolenia inteligencji rosyjskiej. Od pokolenia dekabrystów dzieliło ich 7 — 10 lat. Byli to młodzi bracia o wspólnych cechach ideologii idealistycznej i wspólnej taktyce. I nie z winy tych entuzjastów i marzycieli zainteresowania ich przeniosły się z polityki na filozofię i literaturę. Z literacką grupą Rylejewa mieli wspólnych nauczycieli...

Jako ugrupowania, lubomudrzy nie byli jednolici: reprezentowali wielką rozbieżność typów socjalnych od arystokraty ks. Włodzimierza Odojewskiego, z początku niemal apologety państwowości, do syna chłopca pańszczyźnianego M. Pogodina, autora obyczajowych powieści z życia chłopów i ziemian. Za powieści te Pogodin był prześladowany i jakiś czas, ze względu na redagowany przez niego „Moskowskiej Wiestnik”, obawiał się uczęszczać na zebrania, w których brał udział pisarze „nie zasługujący na zaufanie władz”, a mianowicie: Puszkina, Mickiewicza, Baratynskiego.

W stadium procesu tworzenia się ideologii lubomudrów, kiedy największym wpływem cieszył się Włodzimierz Odojewski, debaty zwolenników niemieckiej filozofii foczyły się dookoła Kanta, Fichtego i Schellinga. Za kryterium utworu artystycznego uważano boskie natchnienie artysty, jego twórczą indywidualność. Wierzono, że właściwe prawdy ne sont pas pour tous les hommes. Natchnienie wybranych ulubieńców sztuki i mądrości miało graniczyć z objawieniem mistycznym. Od literatury żądano aby była przeniknięta ideą filozoficzną. Był to romantyzm, wzmożony przez dydaktyzm abstrakcyjny. Włodzimierz Odojewski w obawie przed „feodalizmem bankowców” Zachodu z jednej strony i utopijnym socjalizmem z drugiej, stworzył na kanwie marzeń patriotycznych, wolnościowych dekabrystów jedną z pierwszych teorii mesjanizmu rosyjskiego. Z czasem mistyczne i oderwane nastroje pogłębiały się.

Otrzeźwiającym wydarzeniem było zjawienie się w Moskwie pogrudniowej Puszkina z „Borysem Godunowem”. Jeszcze będąc na zesłaniu we wsi Michajłowskoje, Puszkina dowiadywał się o lubomudrach od Baratynskiego, który zwrócił uwagę poety na wiersz Szewyriowa „Jestem”. „Muszę Ci powiedzieć, — pisał Baratynski do Puszkina w styczniu 1826 roku, — że młodzież moskiewska doznaje obłądki od filozofii transcendentalnej. Nie wiem, czy to jest dobre, czy złe; co do mnie nie czytałem Kanta, i przyznam się, nie bardzo rozumiem współczesnych estetyków... Zresztą mniejsza z tym, zwłaszcza Ty możesz nie zwracać na to uwagi. Twórz piękno i niech kto inny głowi się nad jego sensem.”

W 1826 roku czytanie dramatu historycznego Puszkina wywarło wielki wpływ na Szewyriowa. Spotkanie i rozmowy z Puszkinem utrwaliły Szewyriowa w przejętej od Raicza estetyce ewolucyjnej. Z teorią historycznego rozwoju literatury występuje Szewyriow w „Moskowskim Wiestniku” w szeregu recenzjach. Historyczna analiza intermedium z „Fausta” zwraca uwagę Goethego na Szewyriowa, o czym niemiecki poeta pisze w liście do Borhardta (list ten był wydrukowany w „Wiestniku”). Powoła wyzwała się Szewyriow spod wpływów schellingowskich.

Jednocześnie z Szewyriowem uciekał się do historycznej interpretacji literatury Dymitr Wieniewitnow. Historyczną analizę zastoso-ował on w recenzji z pierwszego rozdziału „Oniegina” na ogół niezyczliwie przyjętego przez krytykę. Właśnie ta recenzja pierwsza zwróciła uwagę Puszkina na młode ugrupowanie romantyków moskiewskich.

W okresie „Moskowsko Wiestnika” głównym teoretykiem jego staje się Szewyriow. Szewyriow zadebiutował w poezji mając 14 lat. W pierwszym okresie, przed zetknięciem się z kołem Raicza i „Mnemozyną”, pozostawał pod wpływem poezji preromantyków. W roku 1824 Kuechelbecker wydrukował swój artykuł o odzie i elegii. Był to atak na normatywne zasady poetyki rodzajów literackich. Kuechelbecker, jak i inni poeci dekabryści, żądał zastosowania stylu wzniosłej poezji do poważnej treści, wyzyskania osiągnięć klasycyzmu do potrzeb nowej epoki romantycznej. Na tym punkcie „Mnemozyna” zbliżała się do koncepcji „miłośników mądrości”.

Pod wpływem deklaracji i poezji Kuechelbeckera, Szewyriow znajduje siebie w odzie dekanonizowanej. Różnica zachodzi w przesunięciu wskaźnika z poezji społecznej na nową treść filozoficzną. Tym wyraźniej nastąpiło w nowej twórczości Szewyriowa zatracenie się normatywnych cech ody. Staje się ona wierszem o poważnej treści, utworem poza rodzajami literackimi o zaostrożonej intencji refleksyjnej. Po odzie targnął się Szewyriow na autonomię ballady, dając w „Kainie” pierwszy przykład tego rodzaju poetyckiego, przeloczonego w wiersz filozoficzny, „Jestem” i „Kain”, opublikowane w 1825 roku, wprowadzają Szewyriowa do literatury. Podziwiał je Puszkina, polepsia obóz Bułharyna. Kryłow pisze bajkę polemizując z zoilem z „Północnej Pszczoły”, a lubomudrzy uznają Szewyriowa za głównego wyraziciela swojej szkoły.

Tłumaczenie książki W. H. Wackenrodera „O sztuce i artystach”, którego się podjął Szewyriow razem z Titowem i Mielgunowem, nadało kierunek psychologiczny nowej poezji filozoficznej. W dziele tym, jak w utworach Novalisa oraz w książce Eichendorfa „Z życia nicponia” (1826), stworzony został romantyczny typ artysty. Wiersze, za pomocą których Józef Berlinger wyraża swoje przeżycia artystyczne, zabierają granice poszczególne utworów. Powstaje poezja cyklu lirycznego. Po przetłumaczeniu wynurzeń filozoficzno-lirycznych bohatera książki Wackenrodera, Szewyriow wzoruje na nich własne wiersze. Wóruje mu Dymitr Wieniewitnow, stosując razem z Szewyriowem formę konstrukcji retorycznej, opartej na alegoriach, przedstawianach i paralelach pomiędzy wewnętrznym i zewnętrznym światem podmiotu lirycznego. Pod sugestią tych prób powstają „Trzy źródła” Puszkina, jako wyraz uczuć poety, wstrząsnętego wczesną śmiercią Wieniewitnowa.

Wkrótce Szewyriow spostrzegł sztuczność tej formy barokowej, zrywa z nią i wedy sięga wyżej swojej twórczości („Myśl”, „Noc” i inne wiersze) niemal dorównujących lirycie Tłuczewa. Były to pierwsze wzory wywołonego żywiołu lirycznego, poprzedzające sam termin liryki, który uchwala się w Rosji pod koniec lat 40-tych. Znamienne jest, że w IV części „Mnemozyny”, redagowanej całkowicie przez Włodzimierza Odojewskiego, w spisie rzeczy użyte zostało po raz pierwszy określenie: wiersze liryczne.

W zapale polemiki Szewyriow nazywał młodekaramzinistów „prasowaczami” poezji



Dymitr Wieniewitnow

i proponował jako godło dla nich żelazko zamiast liry. Sam konsekwentnie szukał nowych form dla nowej treści. Rozpoczął od tłumaczeń z niemieckiego, a później włoskiego, w których był mniej skrepowany tradycją rosyjskiej metryki. W ten sposób dał początek rosyjskim wierszom tonicznym.

W 1837 roku ukazała się książka Koeniga „Literarische Bilder aus Russland”, inspirowana przez lubomudrów. Koenig za namową Mielgunowa wprowadził następujący podział poełw XIX wieku w Rosji: 1) Żukowski, Batiuszkow, Wiazemski; 2) Puszkina, Baratynski, Delwig, Jazykow, Kozłow, Podolinski; 3) Dymitr Wieniewitnow, Szewyriow, Chomiakow. Druga grupa reprezentowała w pojęciu lubomudrów poezję „sztuki wysłowienia się”, trzecia — „myśli i uczucia”. W tym kierunku szła polemika z młodokaramzinistami uprawiana przez „Moskowskiej Wiestnik”. W polemice tej na przeciwnych blegunach znalazły się nazwiska Puszkina i Mickiewicza. Autor „Dziadów wileńskich” i „Konrada Wallenroda” odczuwany był przez romantyków moskiewskich jako pokrewny ich ideałom twórcy, ich koncepcjom estetycznym. W recenzji o „Manfredzie” Byrona, wydrukowanej w X części „Wiestnika” (1828, str. 57—58) Szewyriow określa dwa „przeciwnie obozy literackie, odznaczające się wyraźnymi, dobitnymi cechami: jeden z



Wasyl Żukowski

nich przedstawia życie ludzkie z jego żywiołami: opisuje charaktery, akcje, wydarzenia, uczucia, namiętności w najdrobniejszych szczegółach... Dla drugiego — zjawiska służą tylko jako okazja wypowiedzenia wzniosłych idei i głębokiego uczucia”. Do pierwszego obozu zaliczał Szewyriow Goethego, Waltera Scotta, Irvinga, Coopera, Manzonię i Puszkina. Do drugiego — Schillera, Byrona, Moore, Żukowskiego, Mickiewicza i Raupacha.

Tkwi w tych związkach ideologicznych istotny sens „drogi do Rosji”, gdzie Mickiewicz nie tylko był świadkiem dążeń rewolucyjnych dekabrystów, ale brał również udział w narodzinach krytycznej myśli rosyjskiej, która nieco później przyniosła pierwsze plony w działalności Bielińskiego, Czernyszewskiego i Herzena.

7. „POD JEDNYM PŁASZCZEM...”

PIERWSZĄ przeróbką „Lenory” Buergera na gruncie słowiańskim była „Ludmiła” Żukowskiego (1808). Cztery lata później pisze Żukowski drugi wariant buergerowskiej ballady, pogłębiając jej ludowe rosyjskie cechy, zaopatrując w moralizującą, pomyślną dla bohaterów pointę: posępny upiór był snem; naręczony wraca, dzwony biją nawołując do ołtarza. Ten drugi wariant, zatytułowany „Swiełłana”, cieszył się wielkim powodzeniem. Na język polski „Swiełłana” była tłumaczona dwukrotnie w 1824—25 r. przez Witwickiego w Warszawie (bez podania autora oryginału) i Odyńca w Wilnie. Zan naśladował Buergera w „Nerynie”, korzystając z rosyjskiej przeróbki — „Ludmiły”. Z tym okresem zbiega się zainteresowanie Mickiewicza romantyzmem niemieckim. Podobnie jak Żukowski szuka on tematów w rodzimym folklorze. Próby jego są radykalniejsze od rosyjskiego wielbiela poetów z Getyngi. Jednocześnie podobnej wizji poddają romantyzm Żukowskiego rosyjscy „młodsi archaści”. Katielin pisze dwie ballady: „Natasza” (1814) i „Olga” (1816) polemizując w nich ze „Swiełłaną”. Są to programowe utwory, w których Katielin wprowadza to historyczne, zniża styl poetycki do mowy potocznej, wyzyskując barwność języka bajki ludowej. W ten sposób szukał on formy „samostnej” ballady rosyjskiej. Druga cecha jego ballad była typizacja i psychologizacja postaci. Ballady Katielina wywołały w prasie polemikę, w której po stronie ich autora, broniąc jego pozycję unarodowienia romantyzmu, wystąpił Gribojedow. Później

Kuechelbecker pójdzie jeszcze dalej w balladzie „Pachom Stiepanowicz”. Humoreska ta o pijanym żołnierzu, który w nocnej drodze z szynku do koszar spotyka w lesie szynkarza — upióra, jest niesamowitą w swoim realizmie koszarową. Była to skrajna odmiana buergerowskiej „Lenory”. Do ballady typu Katielina są zbliżone „Dumy” Rylejewa, które powstawały pod wrażeniem lektury Niemcewicza i nie bez wpływu „Ballad i romansów”. Rylejew pisał je w tych latach, kiedy powstała „Grażyna” (1821—23).

W 1822 i 1829 latach pisze Kuechelbecker dramatyczne poematy „Argiwianie” i „Iżorski”. W przedmowie do „Iżorskiego” poeta powołuje się nie tyle na Szekspira, Goethego i Schillera ile na misteria średniowiecznego Hansa Saksy, Frères de la Passion i Calderona. Swoje upodobania poetyckie łączy z wiarą w konieczność dydaktycznej intencji sztuki, Mitologią słowiańską, wierzenia ludowe stanowią główną treść jej fantastyki, pomieszaną z realiami życia i historią. Paralele do „Dziadów” nasuwa również połączenie elementów tragedii antycznej z kompozycją romantyczną.

Nawet w poszukiwaniach formalnych idzie Mickiewicz w tym samym kierunku co i współcześni mu romantycy rosyjscy. W okresie powstania „Sonełw” i „Konrada Wallenroda” tworzy Gniędź (autor przekładu „Iłady”) i Kuechelbecker toniczne heksametry rosyjskie, które mają zastąpić falsyfikaty Żukowskiego; do tematów politycznych i filozoficznych formy sonełw używają Kuechelbecker, Tumanski, Szewyriow.

Pokrótce formułując można w ten sposób określić nasuwające się podobieństwa: Pierwszy romantyczny okres Mickiewicza, okres „Ballad i romansów” obraca się w tych samych upodobaniach, w tym samym klimacie ludowości o zabarwieniu realistycznym co i romantyzm „młodych archaistów” rosyjskich. Nawet cechą archaizowania występuje w stylu Mickiewicza. W dalszej swojej ewolucji romantyzm Mickiewicza szuka tych samych form (sonełw, heksametry toniczne, dramaty historyczne). Połączenie tradycji klasycyzmu z romantyczną poetyką zbliża „Dziady” do dramatyzowanych poematów Kuechelbeckera, a tendencji historycznych kronik francuskich — do „Borysa Godunowa”. „Pod jednym płaszczem” wspólne idee polityczne łączą się ze wspólną wiarą w aktywną, wychowawczą rolę twórczej jednostki.

Nie dziwnego, że właśnie w gronie poetów dekabrystów, a później ich młodszych braci, lubomudrów znajduje Mickiewicz najbardziej wnikliwy stosunek i uznanie. Utwory ich, nie stroniące od motywów socjalnych i ludowych, były pokrewne i bliższe ówczesnej twórczości wygnańca polskiego. Atmosfera zbliżającej się burzy, która znalazła swoje wyjście w dwóch nieskoordynowanych rewolucjach: dekabrystów i powstania listopadowego, przemiany społeczne, tworzące cienką warstwę intelektualną, „wielką tkaninę” jakby powiedział Tłuczew, nad otchłaniem nocy narodu — wszystko to stało się podłożem idei, nurtujących pokrewne sobie romantyzmu: rosyjski i polski. Po likwidacji koła Rylejewa, spadkobiercy poetów dekabrystów odczuwali w swoim środowisku brak poety ideologa, który dorównywałby wielkości i aurytyletowi autora „Konrada Wallenroda”. Puszkina wówczas szedł drogą satyry obyczajowej, co nie odpowiadało wielbielom wzniosłych koncepcji „miłośnikom mądrości”.

W okresie „Ody do młodości” posiada poezja mickiewiczowska odpowiednik w puszkiniowskiej odzie „Wolność”. Pod wpływem Żukowskiego i Katielina Puszkina pisze romantyczny poemat „Ruslan i Ludmiła” (1820), idzie w kierunku folkloru i ludowości. Ale już okres odeski Puszkina (1823—24) stoi pod znakiem realizmu „Oniegina”. Zrywając z bajronizmem demaskuje poeta tragicznego bohatera, odwraca się od romantycznego patosu. Poróżniło to Puszkina z lubomudrami, którzy ze względu na swoje upodobania transcendentalne nie mogli sobie pozwolić na takie dawki zdrowego rozsądku i humoru realistycznego. Mickiewicza po-



Konstanty Batiuszkow

pechnął w stronę spotęgowanych barw romantyzmu tragiczny los jego narodu. Bajronizm Mickiewicza można raczej porównać z bajronizmem Szewyriowa.

Lubomudrzy nie potrafili wyłonić ze swego środowiska twórcy o zbliżonych do Mickiewicza wartościach społecznych. Zaważył na nich los ruchu dekabrystów. Twórczość ich poszła spazoną drogą pogłębienia treści w stronę abstrakcji filozoficznej. Na klęsce Rylejewa i Kucchebeckera wyrósł kwitnący krzew autonomicznej liryki Tłuczewa, dla której drogę utworzyły poszukiwania poetów schellengistów. Pokoleniu pogrudniowemu brak było decyzji i stanowczości, natomiast aż zawiele poczucia odpowiedzialności i tęsknoty za czynem. Swoje nieurzędywistnie możliwości odczuwali oni w Mickiewiczu. Zukowskiego umieszcza Szewyriow obok Mickiewicza niewątpliwie za elementy schillerowskie w jego poezji, za jej intencje wychowawcze. Również bliska była Szewyriowowi nuta patriotyzmu.

Związki ideologiczne Mickiewicza z słowianofilstwem rosyjskim, a zwłaszcza z jego wczesnym etapem zasługują na specjalną rozprawę. Niewątpliwie wyjątkiem są zbieżności odmian polskiego i rosyjskiego mesjanizmu, jak na przykład koncepcje „prasłowiańskich komun rolnych” z historycznymi upodobaniami Rylejewa, który idealizował dawny ustrój Rosji sprzed epoki caratu.

Wkrótce jednak patriotyzm z odcieniem mistycznym zaczyna niespodzianie oddziaływać. Kiedy skazany na dożywotnie zesłanie dekabrysta Aleksander Odojewski odczuwał się pięknym wierszem na wiadomość o polskim powstaniu, łącząc ofiarę powstańców polskich z ofiarą dekabrystów —

Słyszycie: tam wre krwawy bój nad Wisłą,
Z Rusią Lach walczy o swobodę,
Requiem śpiewa w zgiełku bitw i w gromie
Ofiarom walki, co rzuciły promień
Na rosyjskiego noc narodu...
(tłum. M. Jastruna)

wtenczas poeci schellengijscy wystawieni zostali na ciężką próbę. Poezja ich wydała fałszywe nuty szowinizmu. Niektórzy z nich nie zawrócili już z tej drogi. Na początku lat 50-tych Szewyriow staje się niemal symboliczną postacią karierowiczostwa, budowanego na programowym wstępczynie. Zajmując katedrę na uniwersytecie moskiewskim, tłumni on każdy przejaw żywego ducha. Wówczas odwraca się od niego i od Pogodina, wstępującego Szewyriowowi w „oficjalnej ludowości”, liberalne słowianofilstwo Chomiakowa, walczące ze zwolennikami Zachodu. „Wojna nasza, — pisze Herzen, — wielce zajmowała literackie salony w Moskwie. W ogóle Moskwa wstępowała wówczas w okres wzmożonych zainteresowań intelektualnych, kiedy sprawa literatury — polityka była zakazana — staje się sprawą istnienia... W osobie Granowskiego witalo społeczeństwo moskiewskie rwąc się ku wolności myśli Zachodu, myśl niezależności intelektualnej i walki o nią. W imieniu słowianofistów protestowało przeciw obrazonemu uczuciu narodowemu”. Do tych nowych sporów, trwających do czwartej nad ranem, od czasu do czasu „spadał” Bieliński, podobny (porównanie Herzena) do „sztucznego ognia, wszystko wypalającego dookoła”. Ogień ten wskazuje drogę literaturze rosyjskiej, bezlitośnie wypalając zakazane miejsca na jej ciele. W jego świetle postać Mickiewicza jeszcze dobitniej występuje obok Goethego, Byrona i Puszkina.

W roku 1849 w Paryżu nastąpiło spotkanie Mickiewicza z Herzenem. „Nigdy nie widziałem go przedtem, — wspomina Herzen, — stał oparty łokciem o kominek. Kto zna portret, dołączony do wydania francuskiego, mógłby natychmiast go poznać, mimo wielkich zmian, które się w nim w ciągu lat dokonały... Ogólny wygląd: postać, głowa o bujnej siwiznie i zużonym spojrzeniu, — ujawnił przeżyte nieszczęścia, znajomość bólu wewnętrznego, egzaltację cierpienia. Był to plastyczny obraz losów Polski”. W rozmowie, podczas której Mickiewicz dopytywał o stosunki w Rosji, Herzen odniósł wrażenie, że poeta pozostał przy tym, co wiedział przed laty dwudziestu, kiedy na zawsze opuścił jej obszary. Przy okazji Herzen opowiedział, jak sześć lat temu pił w Moskwie toast za zdrowie Mickiewicza. Było to na prozonym obiedzie u Gronowskiego. Dawny „miłośnik mądrości” Chomiakow zainicjował ten toast za zdrowie „nieobecnego wielkiego słowiańskiego poety”. Wówczas w Rosji bezpiecznie było nie wymieniać głośno imienia Mickiewicza. Ale wszyscy i tak zrozumieli Chomiakowa, podnieśli się z miejsc i w milczeniu wychyliły swoje puławy.

Leon Gomolioki

TREŚĆ NR 48:

Eugeniusz Delacroix — Pamiętnik; Zbięgniew Bieńkowski — Antyamerykanizm współczesnej powieści amerykańskiej; Bolesław Leśmian — Wiersze; Paweł Hertz — Linia najmniejszego oporu; Ryszard Matuszewski — W poszukiwaniu rzeczywistych rygorów poetyckich; Mieczysław Wionczek — Obrona cywilizacji zachodniej; Aleksander Litwin — O tzw. angielskiej drodze do socjalizmu; Leon Gomolioki — Droga do Rosji (II); Ewa Korzeniowska — Teoria literatury; Korespondencja.

KAZIMIERZ BRANDYS

OPOWIADANIA BEHAVIOURYSTY

W DYSKUSJI o prozie, która wciąż wraca na łamy piśm, Artur Sandauer zadeklarował się kilkakrotnie jako zwolennik realizmu behaviourystycznego. Sam z nim toczyłem częste spory o to, czy istniejące uzasadnione potrzeby wykluczenia z toku narracji oznak wszechwładzy autora o opisywanym przedmiocie, a więc zarówno jego komentarza, jak i eksponowania wnętrza przedstawianych ludzi. Sandauer określił kiedyś powieść nowoczesną, jako „myśl wyrażoną przez zestawienie faktów”, i konsekwentnie postulował postawę nieobecności autora we własnym dziele, w związku z czym, jak mi się zdaje, padła kiedyś nazwa „powieści ateistycznej”.

Byłoby sprawą poboczną zapuszczanie się w dyskusje, czy teoretyczne koncepcje autora „Śmierci liberała” są słuszne. Znacznie ciekawsze jest zagadnienie, jak wygląda proza z tych koncepcji zrodzona, czy autor dochował im wiary i czy zdrada lub wierność wyszły dziełu na korzyść. Warto podkreślić, że Sandauer należy do rzadkiego u nas gatunku krytyków uprawiających prozę artystyczną, i to równocześnie, bez prymatu jednego kierunku twórczości nad drugim. Już w pierwszych numerach „Odrodzenia” ukazywały się jego nowele (wchodzące obecnie do wydawnego tomu) — na przemian z esejami filologicznymi i krytyką literacką. Panuje nie od dziś pewna nieufność do powieści, które wyszły spod pióra pisarzy, zajmujących się teorią literatury: podobno zbyt świadome koncepcje teoretyczne autora wyciskają swój stempel na utworze, czyniąc go zanadto zorganizowanym; — jak twierdzą, odrobina nieludu powinna być cechą każdej dobrej sztuki.

Pięć spośród sześciu opowiadań, jakie Sandauer umieścił w swym tomie, dzieje się w środowisku inteligencji żydowskiej w polskim miasteczku czasu okupacji. Z masy prześladowanych Żydów autor wybiera okazy o najbardziej rozwiniętej świadomości: lekarzy, piszących esaje o Anatonu France, albo młodych intelektualistów, których Gestapo zastaje nad Szekspirami; a w każdym niemal wypadku ludzi, dla których sprawa śmierci i ocalenia nie zamyka się w granicach biologii, lecz zawsze wkracza w obszar problemów moralno-intelektualnych. Dlatego sądzę, że w „Śmierci liberała” nie należy szukać jedynie świadectw martyrologii żydowskiej. To książka głębokiego intelektualisty, którego ambicją jest pokazać nie tylko cierpienia, ale przede wszystkim wyrycie jego dialektyki. Sandauer na wielu stronach swej książki daje dowody, że męczeństwo człowieka pobudza go do najwyższych uczuć, zawsze jednak, choćby do gruntu wstrząsnął, zachowuje tę dozę czujności, jaka mu jest potrzebna, aby przymierzyć los ginących ludzi do świata idei, który uznaje za równoważny ze światem biologicznym. Tak

* Artur Sandauer: „Śmierć liberała” (opowiadania), „Książka” — 1947.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

SAM NA SAM Z PRZYRODĄ

MICHAŁ PRISZWIN, autor „Korzeni życia”, należy do najstarszych wielkich pisarzy ZSRR, urodził się bowiem w r. 1873, a początki jego twórczości datują się z czasów rewolucji rosyjskiej. Z wykształcenia — agronom, z zamiłowań — podróżnik, myśliwy i badacz przyrody, spędził wiele lat w tajgach i stepach azjatyckich, znajdując tu bogaty materiał do opowiadań, szkiców i wspomnień, pełnych świeżości barw, plastyki i refleksyjnej powagi.

Tematyka Priszwina jest wiernym odbiciem życia niezamordowanego wędrowca. Jest zarazem wyznaniem wiary myślącego człowieka, który wędrowki te odbywał nie z nudów przesytu i dla zabicia czasu — lecz kierowany najgłębszą miłością natury, pragnieniem zbliżenia się do jej tajemnic, chęcią związania swej istoty ludzkiej z wielkością form i kształtów wiecnego bytu przyrody.

Nieprzebyte lasy, skały nadmorskie, bezkresy stepów, kwieciste, przed okiem ludzkim ukryte łąki — wszystko to w równej mierze pociąga i zachwyca Priszwina, ale najbardziej interesuje go świat zwierzęcy, dla którego ma czułość prawdziwą i zrozumienie wyjątkowe. Przedmiotem podziwu Priszwina bywa i motyl i tygrys. Ba! o tygrysie potrafi powiedzieć, że jest „jedną z najpiękniejszych, najdelikatniejszych i najwznieśliwszych istot na świecie”.

W opowiadaniu „Korzeń życia”, będącym arcydziełem daru obserwacyjnego i narracyjnej obrazowości, wiele miejsca poświęcił autor życiu dzikich jeleni. Cechy i właściwości tych wspaniałych zwierząt, ich zwyczaje i obyczaje, rykowsko i walki samców, sposoby chwytania i oszawiania — wszystkie te sprawy opisuje Priszwin z dokładnością uczonego zoologa, lecz zarazem z kunsztem pisarza-artysty, dysponującego rozległą skalą środ-

* Michał Priszwin. Korzeń życia i inne opowiadania. Przekład A. Stawara i P. Herta. — Warszawa, „Czytelnik” 1947. — Str. 268 i 4 ni.



Artur Sandauer

więc w postaci doktora Herberta Kirschego poznajemy dobrze znaną tragedię zbankrutowanej ideologii: dogonna wiara nieszczonego liberała w praworządność Niemców jest zjawiskiem psychologicznym, wiodącym do katastrofy człowieka; ale równocześnie Sandauer w osobie swego bohatera prezentuje nam zjawisko polityczne, u którego skrajnie grozi katastrofa społeczeństwa. Dr Henryk Jassym i Józef Grad w „Spółce z ograniczoną odpowiedzialnością” to dwie ofiary hitleryzmu. Lecz obok obrazu męczeństwa ghetta, dziesiątkowanego przez akcje i epidemie, autor przesuwa przed nami absurdałne widmo biurokracji — i wiemy, że Henryk Jassy i Józef Grad stali się także i jej ofiarami. Dr Maurycy Winter w „Sprawie godności” szuka ocalenia przed śmiercią, jak tytu innych, których ma dosięgnąć kula gestapowca Gabriela. A przed obłęd filozoficzny tego opowiadania przekracza sprawy żydowsko-polsko-niemieckie. Sandauer zawsze pisze o człowieku, on go jedynie interesuje, jego treść moralna i intelektualna jest dla autora najbliższym terenem doświadczeń.

Opowiadania Sandauera powstawały na przestrzeni dość długiego czasu i dlatego nie są jednolite pod względem techniki pisarskiej. W pierwszym („Śmierć liberała”) Sandauer jest wierny swoim behaviourystycznym zobowiązaniom. Doktor Kirsche daje się poznać czytelnikowi wyłącznie od strony swego działania, odruchów, gestów i słów. Nie wiemy

o nim nic więcej ponad to, co wie narrator — przygodny znajomy. W opowiadaniu tym autor ulokował się całkowicie nazewnątrz bohatera i konsekwentnie demonstruje go jako eksponat, tą czy ową stroną do widza. Natomiast w „Pamiętniku bezsensu”, który obok „Śmierci liberała” należy do najlepszych utworów w tomie, Sandauer znacznie poszerza swoją formę o „myśl wyrażoną przez zestawienie faktów” i daje piękny wykład o człowieku, sięgając do jego psychologii nie objawianej na zewnątrz, ale ukrytej głęboko w warstwie doświadczeń i uczuć. Gdyby przyparto mnie do muru, musiałbym stwierdzić, że Sandauer-behaviourysta wyszedł z tej rozgrywki pokonany. Jakkolwiek obydwa opowiadania pisane są dobrą prozą, jedną z najlepszych w naszym powojennym dorobku — właśnie „Pamiętnik bezsensu” pokazuje pełnię talentu pisarza. I nie dziwnego! Nie należy się wyrzekać swobód własnej sztuki i zaciskać jej rygoru ponad konieczną miarę. Koncepcje Sandauera są dla mnie zrozumiałe, jako reakcja na przeroz psychologizmu w literaturze dwudziestolecia, i dlatego zawsze wydawały mi się użyteczne. Ale już opowiadanie p. t. „Radio” zdradza groźne skutki ich zbyt dokładnej realizacji. Utwór ten, który uważam za najmniej udany w porównaniu do innych, nie zasługuje na zły los, jakim obciążyli go autor. Postać bohatera jest dobrze postawiona i napewno tak samo prawdziwa politycznie jak doktor Herbert Kirsche. A przecież, podczas gdy doktor Kirsche udał się Sandauerowi od pierwszych do ostatnich zdań, Romek, bohater „Radio”, do końca pozostaje nieprzekonywujący. Tajemnica polega na tym, że Sandauer zbyt mechanicznie zastosował w tym wypadku swoją receptę. Doktor Kirsche to gotowy eksponat — wszystko, co się w nim dokonywało zostało zakodowane; stary liberal, legalista, pięknych smakoz — jest już całkowicie opracowany wewnętrznie, wystarczy przytoczyć kilka faktów i słów, aby stał się doskonale zrozumiałym. Co innego Romek z „Radio”: to postać, która dopiero się dzieje, jej cechy są w fazie realizacji, daleko tu jeszcze do modelu — i aby nadać moc artystyczną temu, co zamierzył intelektualnie, powinien był Sandauer w tym wypadku wyrzec się swej pozycji nazewnątrz bohatera, wkroczyć w obszar jego myśli, przeżyć, pragnień, i „od środka” eksponować zdarzenia. Oto groźne następstwa behaviouryzmu, którym Sandauer straszyl nas przez dwa lata! Ale nie bójmy się czarnego luda, oceńmy natomiast dobrego artystę. Autor filologicznych felietonów w „Odrodzeniu”, inteligentny krytyk i esejysta — dał nam szlachetną prozę, pisaną językiem oszczędnym i skupionym, nasyconym uczuciem i intelektualnie. Problematyka jego opowiadań jest szeroka i głęboko społeczna, jej rozwiązania — prawdziwe i użyteczne. Cieszyć się, że prozie powojennej udał się nowy pisarz, którego debiut tak dobrze wróży o przyszłym rozwoju.

Kazimierz Brandys.

Ta niezwykle metaforyka miłosnego duetu czyż nie wydaje się bliska obrazkami biblijnej „Pieśni nad pieśniami”?

Twórczość Priszwina ma podkład refleksyjności, ogarniającej najistotniejsze zagadnienia życia człowieka, jego rolę i zadania wśród całej otaczającej nas przyrody, jego obowiązki w stosunku do bliższych i dalszych ludzkich braci. Bezpośredni kontakt z tym, co stanowią wielokształtne emanacje twórczych sił natury, samotność i okazję do długich rozmyślań są to czynniki, sprzyjające dojrzewaniu wewnętrznemu, potęgujące zdolność pojmowania sensu wielu spraw i rzeczy.

Na pustkowiu mandżurskim utwierdza się Priszwin w przekonaniu, że „w mydle pachnącym i szczerkach mieści się jego znikoma cząsteczka kultury, a jej istota tkwi w twórczym pojmowaniu spójni między ludźmi”. Zaś w zakończeniu opowiadania o tajemniczej roślinie żen-Szen, która wedle wierzeń miejscowych jest „korzeniem życia” i źródłem niewyczerpanych sił witalnych, autor przeryca most łączności pomiędzy natną wiarą mandżurskich tubylców a nakazami nowej rosyjskiej rzeczywistości — i tak pisze: „Wraz ze wszystkimi pracownikami nowej kultury czuję, że korzeń życia przeniknął z rodzinnej tajgi w rdzeń naszej twórczej natury, a w naszej nowej tajdze sztuk, nauk i pożytecznej działalności poszukiwacze korzenia życia są bliżsi celu, niż poszukiwacze relikwiotowego korzenia w rdzenną tajdę”.

Piękna, mądra i niezwykajna jest książka Priszwina, technąca intymnością współżycia z przyrodą, ciepłem sympatii dla ludzi i zwierząt, rozważną pogodą i dyskretnym humorem. Z satysfakcją podnieśliśmy, że tłumacze — w osobach A. Stawara i P. Herta — dali przekład o wysokich walorach literackich, nie gubiąc i nie zacierając tego, co jest dużą i urokiem omówionych tu utworów.

Bolesław Dudziński

TADEUSZ DREWNOWSKI

OPOWIADANIA O ZWYCIĘSTWIE

JESTEM w sytuacji spóźnionego recenzenta w tym sensie, że problematyka krytyczna, którą zamierzam poruszyć, jest znana czytelnikowi recenzji o książkach okupacyjnych^{*)}. Książki o tematyce wojennej pełnią ważną w życiu kulturalnym narodu funkcję: organizują wspomnienia, sporządzają kronikę minionych wydarzeń i przeżyć, z której przez wiele lat, jak z pamięci, będzie się odczytywało dzieje okupacji. „Wielki Cień^{**)}” jest drugim tomem Jerzego Pytlakowskiego tomem złożonym z 10-ciu opowiadań, z których 9 obraca się w tematyce wojennej. Do schematu wiedzy powszechnej o powiadań Pytlakowskiego wnoszą nowe momenty. Nie znam w naszym dotychczasowym dorobku opowiadania o Polakach, wywiezionych na przymusowe roboty do Reichu („Strach”). Mało jest świadectw literackich marszu wyzwolenieckiego ze Wschodu („Bracia”). Wreszcie — nie czytałem tego typu dokumentu kategorii „co 24 godziny śmierci”.

Tom Pytlakowskiego organizuje wspomnienia o okupacji na osiach wyraźnych ocen. Wojna w opowiadaniach Pytlakowskiego jest granatem, który rozbija tradycyjny system wartości. Dzieje ludzi w czasie wojny są pełne konfliktów ocen, problemów moralności społecznej, które domagają się praktycznych i doraźnych rozwiązań. Główną żyłą, która przebiega przez cały zbiór jest sprawa przełomu, któremu ulegają ludzie pod wpływem przeżyć, sytuacji i doświadczeń wojennych. Co ciekawsze, jeśli się bliżej analizuje ów przełom, któremu podlegają prawie wszystkie główne postaci Pytlakowskiego, dochodzi się do wniosku, że mowa w tych opowiadaniach właściwie o jednym przełomie, ściślej — o jednym zwycięstwie. Walka bowiem kończy się zwycięstwem — stał optymizm opowiadania o czasach grozy. Nie chce przez to powiedzieć, że wojna w tych opowiadaniach polega na tryumfach wśród ludzi podbitego narodu, że Pytlakowski nie przedstawia tej kompletnej dekompozycji, jakiej ulega człowiek w trybach precyzyjnego mechanizmu zagłady. Pytlakowski, właściwie drugi — obok Borowskiego, umie pokazać, jak wygląda człowiek w dwudziestej trzeciej godzinie umierania.

Dla wyśledzenia idei zwycięstwa, znamiennej dla „Wielkiego Cienia”, wystarczy zestawienie trzech opowiadań:

1. („Dzień, który się skończy”): Ewa, Żydówka z warszawskiego getta po śmierci brata, uderza umyślnie oficera niemieckiego po twarzy, żeby zginać. Oficer wbrew jej przypuszczeniom nie zabija Ewy, pocięszy ją i odprowadza do grupy więźniów przeznaczonych na wysyłkę do pracy. „Ewa jest przytłoczona potęgą przeciwnika, który zmusza ją do najgorszego, bo do życia... Nie wie bowiem — konkluduje Pytlakowski, że w tej chwili właśnie ona odniosła zwycięstwo nad wrogiem”.

2. („Sąd”): Anna utrzymywała w czasie okupacji stosunki z Niemcami. Była konfidentką. Organizacja wydała na nią wyrok, skazując ją na śmierć. W nocy, w mieszkaniu Anny odbył się sąd nad dziewczyną. Opowieść, wtrącona do procesu sądowego, jest wyjaśnieniem i usprawiedliwieniem dzieł Anny. Zamachowcy zamierzali wykonać wyrok. Anna, gdy oni jeszcze byli w jej domu, zastrzeliła się rewolwerem „Inżyniera”. Na stole zostawiła kartkę: „umiem umierać”.

„Spełniła w swym życiu — pisze Pytlakowski — jak sądziła — jedyny wielki czyn nie rozumiejąc, że został on zainspirowany przez innych”.

3. („Wody”): Janka dostała się z rodzicami — właścicielami mydlarni na Ochocie — na sławny warszawski Zieleniak, jest jedną ze zgwałconych przez Ukraińców dziewcząt. Na przykładzie tej sytuacji widzi bezsilność swego ojca, chciwego sklepikarza, i narzeczonego, romantycznego konspiratora. Buntuje się przeciw mifom rodzinnym i bunt ten wyraża się w udzieleniu, wbrew woli ojca, pomocy rannemu powstańcowi. „Bogdan”, który przez całą noc był nieprzytomny, mówi: — wszyscy cierpimy. Janka patrzy na niego. Już odpoczywa — kończy Pytlakowski. — Jest jedną z wielu. Jest człowiekiem”.

Na podstawie powyższego zestawienia widać, że problematyka moralna „Wielkiego Cienia” jest banalna i uproszczona. Na darmo czytelnik będzie szukał w tym zbiorze wielkiego problemu moralnego „Ginącego Danieła”.

Co wspólnego zawierają przytoczone wypadki i czemu można je wszystkie nazwać jednym zwycięstwem? Decydującym momentem, sądzę, jest fakt, że dzieje się one wszystkie pod wpływem ludzi, dzięki nim i wyrażają się ostatecznie w stosunku do człowieka. Powody i wyniki tych przeobrażeń są faktami, konkretnymi sytuacjami, codziennymi ludzkimi sprawami. Wszędzie — prócz wyjątkowej historii konfidentki, Anny — obrona przed śmiercią jest codziennym interesem człowieka, a uwolnienie się spod jej praw — zwycięstwem. Tak przynajmniej rozumiem zakończenie opowiadania o Ewie. Z realnego budulca, który podlega opisowi i sprawdzeniu, konstruuje Pytlakowski losy swoich postaci.

Czasem jednak argumenty — sprężyny przełomu, czy sprawdziany zwycięstwa, przytaczane przez autora, wydają się mało miarodajne. Czytelnik broni się przed pochopną oceną. Np. Zarzuty Janki pod adresem ojca i narzeczonego, jako wyłącznych sprawców dramatycznej sceny na Zieleniaku, znać, że pochodzą z ust 18-letniej panny, są dla nich krzywdzące. Nie ukazano we właściwej proporcji ich winy i przez to gotowi jesteśmy ich całkiem rozgrzeszyć. I ojciec i narzeczone Janki byli równie bezsilni wobec powstania, jak ona sama. A sprawdzian zmian, jakim uległa Janka, w postaci podania wody powstańcowi, czytelnik obawia się, że jest zanadto kruchy; że Janka wrośnie na nowo w mieszczańskie środowisko, przeciw któremu bunt był chwilowy, jak pożar niejednego domu. Niejednokrotnie znów ilustracja wojennych sytuacji, które autor gani i dezaprobuje, jest karykaturą, parodią, słuszny osąd został źle literacko przepracowany.

Np. w opowiadaniu o „Ostatniej bitwie w bohaterskim stylu”: „rotmistrz na koniu z podniesioną ręką, udrapowany w poruszaną wiatrem okopconą pelerynę... jak samowzwańczy prorok przemawia. (w ten sposób):

— Kawaleria... Atak... Honor... Ocalimy... Zwycięzimy... Żołnierze... Ja... Wy... Ojczyzna...”

Tego rodzaju fragmenty wymagają dokładniejszej literackiej obróbki, skoro mają posiadać moc perswazji. One nie wychodzą na dobre działającym w tomie wektorem ocen, osłabiają ich wyrazistość i zalamują kierunek.

Przytoczyłem tu zakończenia kilku opowiadań mówiąc o głównej sprawie tomu. Powróćmy do tego rejestru, nie chcąc nadmiernie namnożyć materiału przykładowego. Cały sens opowiadań Pytlakowskiego mieści się w kilku przytoczonych słowach autorskiego komentarza (bo streszczenie fabuły można by pominąć). Bez trudu dało się z tekstu wyłowić zwycięskie formuły o zwycięstwie i wielkim czynie. Mają one postać twierdzeń nie w pełni przez tekst uprawnionych i wyglądają na pomocnicze ruszowanie, które powinno być po robocie zdjęte. Przypominają one tezy mo-

ralne, które mają usprawiedliwić tok wydarzeń w opowiadaniach Żukrowskiego, z tą ważną różnicą, że Żukrowski odwołuje się do całego metafizycznego systemu, a Pytlakowski wyłącznie do naszych doświadczeń. W lekturze jednak te formuły brzmią jak końcowy morał i jednocześnie są jakby kapitulacją z pełnego narracyjnego przedstawienia losów ludzkich, są niedoścignięciem pisarskim w konstruowaniu losu człowieka.

Pierwsze opowiadanie „Matka”, z którego pochodzi symbol „Wielkiego cienia” jest mało dla zbioru charakterystyczne. Właśnie wskutek symboliki, która rzadko występuje w pozostałych opowiadaniach. Oto cień motyla we śnie matki okazuje się przepowiednią rzeczywistego cienia, jaki rzuca — w czasie wrześniowych walk — chmury nieprzyjacielskich samolotów. Matka, która sobą osłania dziecko, ginie od kul pokładowego karabinu masyzynowego.

(Marginesowo wspomnę o opisach. Autor nie pozbył się wielomowności w opisie, nie wskazuje na dość znamienne cechy które by dostatecznie charakteryzowały przedmiot opisu. Np. Pytlakowski szczegółowo i obszernie opisuje twarz lotnika niemieckiego w pikującym samolocie: jego uśmiech, zęby, oczy. Wystarczyłby jeden mocny epitet, jedno trafne określenie. W takim diagnostycznym opisie niezrównany jest Adolf Rudnicki).

Kiedy indziej obłok przybiera w oczach żołnierzy frontowych kształt orła: „Było czerwono i uroczyście, żołnierze milczeli, aż do czasu, gdy przedmiot ich obserwacji zmienił się w zwykłą... pierzastą chmurę. Dopiero wtenczas zaczęli wołać jeden przez drugiego:

— Idzie na Warszawę!
— Wiadomość od nas!
— Żeby mieli cierpliwość!
— Żeby wiedzieli!

Symbol jest oprawny w żołnierski dialog. Zwykłe żołnierskie spostrzeżenie pełni tu rolę mętnej, wytartej symboliki orła.

Podobną funkcję do roli symboliki w obrębie opowiadań Pytlakowskiego odgrywa zwyczaj wprowadzania wielu relacji. Prócz toku normalnej narracji autor często wtrąca w pól



Jerzy Pytlakowski

zdania (po wielokropku) inną wewnętrzną opowieść, albo pamiętniki bohaterów. Przykładem jest opowiadanie pt. „Ostatnia bitwa w bohaterskim stylu”, którego prosta fabuła nie wymagała takich komplikacji.

Zarówno symbolika jak i wieloplanowość relacji — zjawiska w tomie drugoplanowe — nadają groźność i wieloznaczność prostym żołnierskim wojennym opowiadaniom. Ich sens powinien pozostać jednoznaczny. Nieskształty językowe jakie swego czasu wytknęło Pytlakowskiemu „Dzisiaj i jutro” dyskwalifikując przy okazji cały tom są clem za próby oryginalnego, własnego stylu i pracę nad indywidualną fizjognomią prozy. Obydwa niefortunne zdania pochodzą z najwięcej zapałającego i najlepszego — moim zdaniem — opowiadania, mianowicie „Dzień, który się skończy”. Widać w nim staranie o kondensację i plastykę wyrazu.

Tadeusz Drewnowski

PAWEŁ ETINGER

ALEKSANDER RADISZCZEW (1749 — 1802)

WŚRÓD WIELU rosyjskich prac czysto literackich czy też publicznych, których osią tematyczną był protest przeciwko pańszczyźnie, opis jej okropności i stopniowe przygotowania do jej likwidacji, na pierwszy plan wysunęły się dwa utwory: mowa o „Podróży z Petersburga do Moskwy” z r. 1790, pióra Aleksandra Radiszczewa, która zapoczątkowała specyficzną literaturę o uwłaszczeniu włościan Rosji i o „Zapiskach Myśliwego” Iwana Turgieniewa z r. 1847, które powstały wtedy, gdy sam problem już całkowicie dojrzał i rozstrzygnięcie jego miało wkrótce nastąpić.

Zestawienie tych dwóch książek przychodzi na myśl wobec stulecia ukazania się zbioru znakomitych nowel Turgieniewa i 145-lecia tragicznego zgonu autora „Podróży”. Obie te rocznice pozwoliły moskiewskiemu „Muzeum Literatury” na urządzenie uroczystej akademii ku czci Radiszczewa, który był jednym z najbardziej światłych i ujmujących pisarzy rosyjskich końca XVIII wieku.

Aleksander Radiszczew, syn Mikołaja, pochodził z niezamożnej rodziny szlacheckiej, wychował się w korpusie paziów w Petersburgu i wraz z grupą młodzieńców wysłany był przez Katarzynę II na studia do Lipska. Kilkuletniemu przebywaniu na uniwersytecie lipskim zawdzięczał wykształcenie gruntowne, znajomość języków obcych i bliską znajomość z pracami i całą ideologią encyklopedystów francuskich, którym też później złożył hołd, tłumacząc na język rosyjski jeden z traktatów ks. Mably. Po powrocie do stolicy nadwieskiej Radiszczew pracował kolejno w różnych urzędach, a jednocześnie wydał kilka prac przeważnie z zakresu spraw ekonomiczno-społecznych, w których widać już wyrażenie jego krytyczny stosunek do reżimu carskiego i współczucie dla oplakanego położenia pańszczyźnianych chłopów. W całej pełni i natężeniu, nawet z pewnym wezwaniem do buntu i powstania, humanitarno-rewolucyjne poglądy autora ostatecznie wyjawili się w „Podróży z Petersburga do Moskwy”, utworze długo przygotowywanym i w istocie samodzielnym, choć niezupełnie wolnym od pewnych analogii z „Podróżą sentymentalną” Wawrzyńca Sterne'a i dziełem ks. Raynal o historii Indii. Prądy sentymentalizmu, dość w owym czasie silne w literaturze rosyjskiej, w ogóle niejednokrotnie odbijały się w pismach Radiszczewa.



Aleksander Radiszczew

Pojawienie się „Podróży” oczywiście nie mogło nie wywołać głębokiego wrażenia opisami strasznej nędzy i ucisku pańszczyźnianych chłopów oraz wypadami przeciwko rządowi. Imperatorowa nie mało już wtedy nastrozona pierwszymi latami rewolucji we Francji była oburzona książką Radiszczewa i doskonale rozumiała jej rewolucyjny sens. Z rozkazu Katarzyny autor był aresztowany, oddany pod sąd wojenny, który go skazał na śmierć, ale Katarzyna karę tę zamieniła na dziesięcioletnie zesłanie na Sybir. W ten sposób Radiszczew okazał się nie tylko jednym z pierwszych pisarzy rosyjskich o przekonaniach rewolucyjnych, których nie obawiał się objawiać w swych pismach, ale zarazem jedną z pierwszych ofiar terroru carskiego wobec ludzi pióra.

W r. 1797 Paweł I, który, jak wiadomo, rad był przeciwdziałać rozporządzeniom swej matki, pozwolił Radiszczewowi powrócić do Petersburga, a przy Aleksandrze I zaproszono nawet autora „Podróży” do udziału w opracowaniu nowego kodeksu prawnego. Lecz i tu lewicowo-reformatorskie poglądy Radiszczewa, których pisarz nie umiał i nie chciał ukrywać, oczywiście nie przypadły do gustu i rozgoryczony autor „Podróży” wkrótce zmarł

w r. 1802, a według pewnych pogłosek miał rzekomo popełnić samobójstwo.

Przemówieniom, wkrzeszającym działalność i twórczość Aleksandra Radiszczewa na akademii, zorganizowanej w Moskwie w końcu września rb. towarzyszyła też wystawa jego dzieł w edycjach oryginalnych oraz autografów jego listów. Większość wydań Radiszczewa, które ukazały się za jego życia a nawet i w późniejszych latach należy do kategorii „białych kruchów”.

Dotyczy to z natury rzeczy przede wszystkim „Podróży z Petersburga do Moskwy”, odbitej w oficynie własnej autora w ilości 650 egzemplarzy; cały ten nakład uległ zniszczeniu na zasadzie wyroku sądowego. Ale i później przez całe stulecie jakieś wrogie fatum przesładowało wydania tego dzieła Radiszczewa a zarazem i ogół jego pism. Nakład zbiorowego ich wydania, sporządzonego w r. 1808 przez spadkobierców pisarza, uległ zniszczeniu podczas pożaru Moskwy w r. 1818. Wydania londyńskie „Podróży” dokonane przez Aleksandra Hercena ukazało się i oczywiście w małej tylko ilości mogło przedostać się do Rosji. Nawet już po uwłaszczeniu chłopów w r. 1861, Radiszczew aż do r. 1905 należał do autorów zabronionych przez cenzurę. Gdy wybitny bibliofil rosyjski Jefremow w r. 1872 wydał kosztem własnym zbiór pism Radiszczewa, cały nakład (1500 egz.) został skonfiskowany. Przed samą rewolucją w 1905 r. Suworin, sławny redaktor antypolskiej i żydożerczej gazety „Nowoje Wremia”, dzięki swym wpływom otrzymał pozwolenie na przedruk „Podróży”, ale nakład był ograniczony do jedynie 100 egzemplarzy i niedostępny oczywiście dla szerokiej publiczności.

Według najnowszych danych, „Podróż z Petersburga do Moskwy” w pierwotnej edycji z 1790 r. istnieje obecnie tylko w 11 egzemplarzach, z których jeden przechowany jest w Ameryce. Reszta znajduje się w wielkich radzieckich bibliotekach publicznych, kilka zaś w zbiorach prywatnych. Istnieje egzemplarz „Podróży” z biblioteki własnej Puszkina, stanowiącej jeden z najbardziej interesujących eksponatów Muzeum Puszkowskiego Akademii Umiejętności ZSRR. Własnoręczny napis poety na karcie tytułowej głosi, „iz tajnoj kancelarii — 200 rubli”; w egzemplarzu tym imperatorowa czerwonym ołówkiem podkreśliła ustępy, które się jej wydawały szczególnie śmiałe i niebezpieczne.

Paweł Etinger

*) Myślę o krytykach książki Żukrowskiego „Z kraju milczenia”, Rymkiewiczza „Rafał z lasu” i in.

**) „Wielki cień” Spół. Wyd. „Czytelnik”, 1946, str. 263.

Cenna praca językoznawcza *)

WPRZEDMOWIE do pierwszej części „Zarysu Językoznawstwa Ogólnego” poświęconej teorii językoznawstwa zapowiada autor dwie następne części, z których jedna przedstawi klasyfikację genetyczną języków świata oraz ich rozmieszczenie w czasie i przestrzeni, a druga analizując zasadnicze typy ludowe. Tak będzie w całości wyglądał „Zarys”.

W obecnie opublikowanej „Teorii językoznawstwa” na przestrzeni dwu trzecich książek omawia autor dotychczasowe kierunki językoznawcze, jedną trzecią natomiast poświęca właściwej teorii językoznawstwa, będącej wyrazem osobistych poglądów autora.

Autor rozróżnia trzy etapy rozwoju lingwistyki: pierwszy — do r. 1800 — miał charakter opisowo-normatywny, drugi — w w. XIX — porównawczo-ewolucyjny i trzeci — w w. XX — porównawczo-funkcyjny. Od razu trzeba stwierdzić, że duża wartość referatywno-histerycznej partii książki Milewskiego polega na bezstronnej i ściśle informacyjnej o kierunkach, szkołach i poglądach panujących dotychczas w lingwistyce. Uderza tylko brak choćby wzmianki (a przydałby się cały rozdział) o lingwistyce sowieckiej, o słynnej szkole Marra, choć znalazło się miejsce na wcale stosunkowo szerokie omówienie pierwiastków językoznawczych, właściwie mówiące przedmiotowe jeszcze, bo normatywnych przeważnie dociekających szkoły indyjskiej, greckiej, łacińskiej, arabskiej nawet. Brak ten częściowo może sobie czytelnik powetować lekturą artykułu sprawozdawczego Schaffa pt. „Nowa teoria języka prof. Marra” zamieszczonego w „Kuźnicy” w nr. 13 r. 1946.

Właściwa teoria językoznawstwa sformułowana przez Milewskiego nasuwa pewne wątpliwości, które chciałbym tutaj przedstawić. Niepokojąco dosyć wygląda od razu podstawowy podział dyscyplin językowych (przechodzący bezpośrednio do tak nazwanej przez autora lingwistyki wewnętrznej) na gramatykę i stylistykę.

Gramatyka ma się zajmować konwencjonalną funkcją, natomiast stylistyka ma analizować naturalną funkcję znaków mowy. Chodzi tu o zjawiska określone przez system czyli właśnie konwencje i takie, która w rzeczywistości do nich determinuje kontekst i konstytucja czyli naturalny przebieg mowy. Zapoznawszy się z konkretnym wypełnieniem tego schematu dochodzimy do wniosku, że tyle jest „konwencjonalności” w stylistyce, co „naturalności” w gramatyce. Dlaczego normy składniowe i zasady prozodii mają być „naturalne” i są wykluczone z systemu, w przeciwieństwie do „konwencjonalnych” norm fonologii, które do systemu należą?

Wszystkie zjawiska językowe, których cechą jest powtarzalność podlegają „konwencjonalnej” prawidłowości, więc podział Milewskiego na gramatykę i stylistykę oparty na przeciwstawieniu konwencji naturze chyba się nie da utrzymać. Po książce Milewskiego ukazała się ostatnio interesująca rozprawa Dłuskiej o prozodii języka polskiego, w której mamy niezamierzoną replikę przeciwno tego rodzaju podziałowi. Milewski zalicza prozodię do „stylistyki subiektywnej”, która ma się zajmować „ekspresywno-impresywną” funkcją znaków mowy. Tymczasem z rozprawy Dłuskiej wynika, że czynnik prozodyjny posiada funkcje gramatyczne i tylko niektóre z nich mają niekiedy charakter ekspresywny. — Jeśli chodzi o składnię tu już wręcz dziwnie odmiennie potraktowanie obowiązujących w niej norm od pozostałych norm językowych.

Przeciwstawienie konwencji naturze może mieć mimo to w językoznawstwie pewien sens, ale musi być wypełnione zgoda odmienną treścią. Jednym z wariantów semantycznych tworzonych przez de Saussure’a opozycji *langue* i *parole* było przeciwstawienie nieuporządkowanych, chwytanych na gorąco objawów nowej działalności człowieka — języko-

wi jako swoistemu systemowi. Ale jest to przeciwstawienie badanego materiału podlegającego naukowej racjonalizacji rezultatiwi tych badań — teorii wyjaśniającej badaną rzeczywistość. Każda nauka, więc i stylistyka musi być pewną teorią wyjaśniającą, musi się wnieść ponad „naturę”, choć od niej awsze wychodzi. W tym sensie wszystkie zjawiska językowe muszą być analizowane w związku z kontekstem, choć w różnych ich grupach inaczej ten kontekst będzie wyglądał. W semantyce i składni dojdzie nawet konstytucja. Bez kontekstu nie wiedzielibyśmy np. że *noga* i *nóżka* mają ten sam rdzeń, który uległ odpowiedniej modyfikacji kształtu w związku ze zmianą znaczenia. Tak samo *noga* i (*na*) *nodze* czy podobne. Milewski zaliczyłby te zjawiska do dyscypliny językoznawczej o „konwencjonalnej”, więc i oderwanej od kontekstu funkcji znaków mowy — a przecież każdy to musi przyznać, że właściwe ich rozumienie musi się do kontekstu odwołać.

Pomimo wszystkich tych uwag, nie można się oprzeć wrażeniu, że podział Milewskiego nie jest całkowicie bezpodstawny, że odpowiada mu pewna rzeczywistość. W językoznawstwie są takie zabiegi badawcze, które istotnie odrywają się od kontekstu jakiegokolwiek konkretnej rzeczywistości językowej, obowiązują przy tym wszystkich lingwistów i mają walor dla wszystkich języków. Takie np. pojęcia opozycji fonologicznej, równo- czy różnorodności głosek, ich zgłoskotwórczości i niezgłoskotwórczości, podstawowe kategorie jak rzeczownik, czasownik we wszystkich odmianach, czy podmiot, orzeczenie, dopełnienie wszelkiego rodzaju itp. Tego rodzaju dociekaniom rzeczywistości można przeciwstawić z sensem konkretne analizy opisowo wyjaśniające, które dotyczą ściśle określonej rzeczywistości językowej i zawsze przy analizach szczegółowych muszą się liczyć z kontekstem względnie z konstytucją. Ale jest to przeciwstawienie nie gramatyki stylistyce (w rozumieniu Milewskiego) lecz metodologii lingwistycznej samej lingwistyce.

Przeciwstawienie gramatyki i stylistyki ma już tak bogatą tradycję naukową, że teraz już gubimy się w wariantach teoretycznych tej opozycji. Milewski dorzucił nowy wariant nie przewyższający teorii dawniejszych (choćby dopiero, co przez niego zreferowanych) i dlatego samodzielnie część zarysu „językoznawstwa ogólnego” nie spełnia należycie swego zadania. Zwinął tu może programowy eklektyzm, wskazany może u historyka nauki, ale jako postawa — niewystarczająca u teoretyka. Założenie, że „każda doktryna, która się stała podstawą pewnej szkoły lingwistycznej... nie może być ani odrzucona, ani przemierzana, lecz musi być włączona do systemu...” — założenie to nie wydaje się produktywnie przy samodzielnej pracy w zakresie teorii językoznawstwa. Przecież podstawowe założenia różnych szkół lingwistycznych są i muszą być sprzeczne — inaczej, byłaby jedna i ta sama szkoła, co najwyżej z czasem doskonalona. Wysiłek w kierunku pogodzenia tych zasadniczych sprzeczności jest cennym dowodem jak najlepszej woli autora, ale więcej naraża na niebezpieczeństwa, niż przynosi korzyści. „Zarys językoznawstwa ogólnego” wydaje się tę diagnozę potwierdzać. Sprawa o wrażliwość raczej systematyki dotychczasowych osiągnięć językoznawstwa niż samodzielnej teorii. Najbardziej zasadniczy problem teorii językoznawstwa jakim jest sprawa powiązania morfologii i semantyki (w najogólniejszym sensie tych terminów) — nie został tu nawet postawiony.

Wszystkie te uwagi nie potrafią jednak uchylić pozytywnej w zasadzie oceny, która należy się recenzowanej książce. Milewski dał w niej pierwszą u nas na tym poziomie próbę sformułowania podstawowych problemów językoznawstwa ogólnego i w ten sposób stworzył podstawę dla dalszych prac w tej bardzo trudnej dziedzinie. Bezbłędna teoria językoznawstwa nie może powstać bez studiów przygotowawczych (pewnie ją stworzy kiedyś tenże Milewski), toteż tym życzliwiej należy przyjmować wszystko co ją zapowiada i jej realizację ułatwia.

Kazimierz Budzyk

PRZEGLĄD PRASY

Ostatnie numery „Odrodzenia” przyniosły kolejno wiadomości o t. zw. klubach literackich „Czytelnika”. Ponieważ kluby te są pierwszą w Polsce próbą zorganizowania rynku odbiorców książki należałoby tu zastanowić się nad dobrymi i złymi stronami tej pionierskiej imprezy. Wydaje mi się, że spis książek ogłoszonych już w Nr 47 „Odrodzenia” powinien decydować o naszej opinii. Komplet książek będzie kosztował 1.800 zł rocznie czyli 150 zł miesięcznie, bowiem w ciągu roku ukazuje się sześć książek. Jak widzimy instytucja klubów rozstrzyga sprawę ceny książki, która utrzyma się przeciętnie na wysokości zł 300. Dziś, gdy ceny książek mają raczej tendencję zwyżkową, kalkulacja „Czytelnika” obala jedną z dotychczasowych trudności rynku wydawniczego: wysoką w stosunku do przeciętnego zarobku cenę książki. Od strony więc materialnej kluby spełniają swoją rolę pozytywnie. Złe strony klubów mogłyby się ujawnić w doborze książek, które będą szczególnie

lansowane przez szeroko rozgałęzioną sieć prasy „Czytelnika”. Można by się obawiać „lektury dyrygowanej”. Ale ogłoszony spis książek zgóry likwiduje wszelkie zastrzeżenia tego typu. Książki zostały wybrane z nowoczesnej literatury europejskiej. Współczesna literatura polska reprezentowana jest przez dwie pozycje: Nałkowska i Dygalski. Literaturę amerykańską reprezentuje Caldwell swoją odważną książką, pokazującą Amerykę od mało znanej u nas strony. Z Francuzów otrzymamy Vaillanda, z Czechów — Rzezacza. Z literatury sowieckiej wybrano książkę Kapijewa, która zademonstruje nam tym razem nierosyjską, lecz dagestańską prozę. Jak widzimy pierwsza seria wydawnictwa klubowego, przeznaczonego zapewne dla mniej szerokiego kręgu czytelniczego, jest dość urozmaicona.

Jeśli myślę o złej stronie klubu to raczej nasuwają mi się obawy, by wysiłek „Czytelnika” nie został uznany za wystarczające załatwienie sprawy popularyzacji literatury w terenie.

Spis pozycji „Czytelnika” dowodzi, że kluby nie będą akcją wydawniczą pierwszego stopnia. Ilość czytelników Nałkowskiej, Vaillanda i Caldwell będzie wzrastać jedynie wtedy, gdy zwiększy się ilość czytelników Cervantesa, Dickensa, Mickiewicza i Woltera. Tak jest, proszę się nie śmiać! Myślę, że przygody Zagdiga mogą być bardzo interesujące nie tylko dla smakosza literatury.

Tej sprawy — popularyzacji podstawowej literatury humanizmu i postępu — nie załatwią kluby, choćby tak dobrze postawione w założeniu jak kluby „Czytelnika”. Popularyzacja literatury podstawowej musi odbywać się po linii bibliotek masowych, po linii organizacji społecznych, politycznych i zawodowych. Wtedy ilość prenumeratorów w klubie literackim „Odrodzenia” będzie wzrastać, podobnie jak się to dzieje w Czechosłowacji czy w Szwajcarii, gdzie instytucja klubów od lat cieszy się powodzeniem dzięki temu, że szerokie masy narodu są wdrożone do czytania i traktują książkę nie tylko jako rozrywkę, ale jako ważny instrument, pomagający w zdobyciu prawdziwej wiedzy o świecie.

Niezależnie od wszelkich projektów i derydatów jakie nasuwają się w związku z inicjatywą „Czytelnika” należą się tej instytucji wydawniczej wyrazy uznania za jej inicjatywę o wielkiej społecznej doniosłości.

Nr 46 „Odrodzenia” gdzie poraz pierwszy podano obszerną zapowiedź wydawnictw klubowych przynosi jeden z najciekawszych essayów, jaki zdarzył mi się czytać ostatnio w naszej prasie literackiej. Myślę tu o „Przechadzce po muzeach paryskich” Adama Ważyka. O malarstwie pisać jest trudno. Jeśli dobrze pamię-

tam posiadał tę umiejętność Józef Czapski w swojej pracy o Pankiewiczu. Ale to był malarz. Praca Ważyka nie jest naszpikowana terminami technicznymi i dlatego sprowadza jakgdyby tajemnicę malarstwa, która netylko jest tajemnicą rzemiosła artystycznego, do prostych i ludzkich prawideł stanowiących o doskonałości dzieła sztuki. Ważyk przeprowadza subtelny analizę socjologiczną malarstwa czasów nowych, przyczem ani razu nie używa zwrotów utartych i zdań banalnych. Nie wulgaryzując, nie burząc nieco odmiennych niż prawa ekonomii czy polityki, praw sztuki, autor essayu potrafił powiedzieć prawdę o obrazie, dokonać wyboru wśród szerokiego wachlarza współczesnego malarstwa uzasadnić nam swoje przekonania i nie urazić artystycznych przekonani tych czytelników, którzy dokonali innego wyboru. Ważyk woli np. Marqueta niż Utrilla, uważa Picassa za ślepią uliczkę malarstwa. Ja osobiście wole Utrilla od Marqueta, a Picasso w „Guernice” czy nawet, o zgrozo, w martwych naturach przedstawiających mandolinę i kawał sera nie wydaje mi się mniej znamienity dla naszego czasu niż ulubiony i przez Ważyka i przede mnie Chardin dla swojego czasu. Ale Ważyk pisze tak pięknie i rozsądnie zarówno o Marquecie jak i o Utrilla, a nawet o Picassie, że ta różnica zdań, jaką stwierdzam czytając jego świetny artykuł, nie budzi mojej niechęci, przeciwnie — skłania do namysłu. Jakże bardzo chciałbym przeczytać taką „Przechadzkę po literaturze współczesnej”, którąby ktoś napisał tak spokojnie i mądrze jak to uczynił Ważyk w swojej pracy o współczesnym malarstwie!

ph.

KORESPONDENCJA

O poziom występów artystycznych na Ziemiach Odzyskanych

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem w nrze 41 „Kuźnicy” pełen konstruktywnych myśli artykuł Stefana Żółkiewskiego p. t. „Kilka praktycznych propozycji”. Wydaje mi się, iż jako stały czytelnik „Kuźnicy” i stały mieszkaniec ziem odzyskanych mam prawo zabrać głos na marginesie tego artykułu, którego postulaty ze względu na specjalne warunki kulturalne tych ziem, tutaj dopiero nabierają szczególnej aktualności.

Mam wrażenie, iż kierowanie wykonaniem artystycznego zamówienia społecznego przez jeden ośrodek dyspozycyjny, którym winno być M. K. i S. prócz długofalowych planów „realizowania rewolucyjnych koncepcji kulturalnych dla mas” — jest palącym postulatem bieżącej chwili.

Może nawiązanie do tezy przytoczonego artykułu treścią niniejszego listu nie jest w pełni usprawiedliwione i analogia jest dość odległa. Myślę bowiem o małym wyoboku życia kulturalnego mas, jakim jest obydowaty teatr a raczej niektóre „jeżdżące trupy rewio- teatralne”. Puszczanie ich samopas i niekontrolowanie ich programów, wystawianych po miastach i miasteczkach ziem zachodnich przynosi bowiem kulturze takie szkody, iż prócz ich destrukcyjnego oddziaływania na konsumenta, wyraźnie dyskredytuje czynniki, które chyba z łatwością mogłyby tego rodzaju barbarzyństwu zapobiec.

Nie będzie bowiem nikomu, komu zależy na właściwym potraktowaniu zagadnienia kultury dla mas, rzeczą obojętną, czym na Ziemiach Odzyskanych karmi się na przedstawieniach objazdowych przygodnych trup teatralno-rewiowych 3 milionów ludzi, którzy stanowią przecież 12 proc. naszego społeczeństwa.

Nie wiem jaka jest dokładnie pragmatyka wyboru i zatwierdzenia programów artystycznych dla zespołów objazdowych, ale wyobrażam sobie, iż dokonuje tego jakiś wydział M. K. i S. lub jego terenowe odgałęzienie. Jeśli tak jest — to słusznie lecz w ostatecznym efekcie jak dotychczas...tragicznie. Dowodzi tego jakość tych programów w doborze treści i poziomie wykonania. Nie kwestionując dobrej woli i należytego poziomu góry MK i S. narzuca się przypuszczenie, iż również dobre funkcje kwalifikacyjne można by przekazać... terenowym Oddziałom Związku Kolarzy.

Mieszkaniec miasteczek i miast na Z. O. zdany jest na informację afiszów wielkości prezydentury, zapowiadających z reguły: „100.000 Volt humoru” — „Gwiazdorów i ulubieńców publiczności stolecznej” — „Niezrównana i niezapomniana z przedwojennych ekranów” i t. p. Wstęp na te cuda „kosztuje nie mniej niż do teatrów łódzkich czy krakowskich, a rezultat... obrzydzenie i nieufność do czynników mających czuć nad czystością wykonania „zamówienia społecznego w kulturze”. I nieodparcie nasuwają się szaremu człowiekowi, bezsilnemu wobec oszustw gangsterów rewioowych (bo jak ich inaczej nazwać?), dalsze analogie z wymiaru społecznego, tracące nieco trywialnością lecz niemniej szersze. Bo zważmy: jeśli zamawiamy u krawca ubranie z powierzonego materiału a ten uszył nam błazeński kostium z różnokolorowymi nogawkami i żółtą latą na plecach żądając za pracę 10.000 zł. to takiego krawca organizacja zawodowa pozbawia dyplomu, milicja aresztuje za wyłudzenie pieniędzy i szkodnicwo sąd zasądza, a klient... na poczekaniu bije w łeb. Dlaczegoż więc wolno w dziedzinie kultury niektórym kabo-

tynom i wyrzutom teatru kłaść pieniądze z kleszeni człowieka pracy? Czy sprawa jest mniej przejrzysta niż z krawcem?

A efekty dalsze, jak podkopywanie zaufania do teatru, kompletne dezorientowanie widza i wyświadczenie niedźwiedziej przysługi prawdziwemu teatrowi — to chyba też nie obojętne objawy wtórne. Czytałem w którymś nrze „Przekroju” iż pewien reżyser teatru (W. P. w Łodzi?) przyjeżdżający ze swą trupą na Wybrzeże, zasiał w pewnym miasteczku w czasie premiery pustą widownię, bo ludzie „dość mieli teatru po pewnych przedstawieniach trup”. Poprosił miejscowego proboszcza o zachęcenie ludzi do przyścia „bo przyjechał teatr prawdziwy”.

Poskutkowało! Ale mam wrażenie, iż przy tolerowaniu obecnego stanu rzeczy, nie pomogą proboszczowie; trzeba będzie milicją zapędzać ludzi do „prawdziwego teatru”. Daleki jestem od zabierania głosu w sprawach teatru, ale wiem, iż średniowieczne diabły, okładające się ogonami, błazni bijący się i popychający po scenie — nie są już od setek lat porywającym tematem komediowym. Rekwizyty te jednak zastąpiło w „komediowych” repertuarach, o których mowa, jakieś nieprzytomne wódkochwalstwo i „dziwkochwalstwo” (jeśli wolno użyć wyrażenia Tuwima z „Jarmarku Rymów”). A to chyba nie jest pocieszające.

Kto oglądał w miasteczkach dolnośląskich przeciętny zespół rewioowy — ten wie, iż mam rację. Satyra polityczna: ryk deklamacyjny, częstochowskie rymy, niedośćtwo pointy, przemykanie plotkarskich nastrojów, urozmaicane niezdarne i komplementami. Humor: „no i jeszcze jeden kielonek, no i jeszcze jedna woda, i żona, cholera, z walcem przy drzwiach”. Piosenka: „Kobietki!... ja was wszystkie chce, bo chociaż stary ale dobry kogut”. Taniec: drygający w pijanym widzie” po kabotyńsku ucharakteryzowany, stary, tegi dyndań i lubieżnik. Wszystko pod kątem, podkaszanej kiecki i zapijającego metniactwa.

Fr. Przebinda

KSIĄŻKI NADESŁANE

- Adam Mickiewicz: Wybór poezji, Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych, nakł. Sp. Wyd. „Książka”, Warszawa 1947, str. 36. — Zł. 70.
- Lenin: O literaturze (artykuły i fragmenty), nakład. Sp. Wyd. „Książka”, Warszawa 1947, str. 48. — Zł. 100.
- Jerzy Aleksandrow: O demokracji sowieckiej, przekład Elżbiety Wasowicz, nakład. Spółdz. Wyd. „Książka”, Warszawa 1947, str. 56. — Zł. 50.
- Alejozy Feliski: Barbara Radziwiłłówna, Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych, nakładem Sp. Wyd. „Książka”, Warszawa 1947, str. 95. — Zł. 120.
- Jack London: Miłość życia (powieść), nakład. Sp. Wyd. „Książka”, Warszawa 1947, str. 109. — Zł. 150.
- Agatha Christie: Piąta kolumna działa (powieść), nakład. wyd. „Awir”, Katowice 1947, str. 246.
- Sinclair Lewis: Małżeństwa (powieść), nakład. wyd. „Awir”, Katowice 1947, str. 368.
- Stefan Kawyn: Renesans i humanizm, nakład. Księgarni Wydawn. „Lamus” Lublin 1947, str. 59.
- Kazimierz Tymieniecki: Dzieje Niemiec do początku ery nowożytnej, nakład. Instytutu Zachodniego, Poznań 1948.



Amerikanin o Ameryce...

Autor niniejszego artykułu, międzynarodowy delegat CIO (Congress of Industrial Organization) w San Francisco, b. uczestnik walk o wolność Hiszpanii, p. Leonard Grumet przybył niedawno do Polski, obejmując lektorat języka angielskiego przy uniwersytecie łódzkim — P. Grumet ma zamiar ogłosić większy cykl artykułów, ilustrujących problemy polityczne, społeczne i ekonomiczne stanu Kalifornia.

Bezpośrednio po moim przyjeździe do Polski zaskoczył mnie fakt, że większość Polaków, z którymi rozmawiałem, posiada najfantastyczniejsze pojęcia o Ameryce. Dla części Polaków Ameryka to raj stworzony przez dobroczynną działalność wolnej konkurencji, dla innych Ameryka jest krajem, któremu brak kultury a jej mieszkańcy to businessmani interesujący się wyłącznie zdobywaniem pieniędzy. Obie te przeciwstawne koncepcje Ameryki raj (sugestia Hollywood) i Ameryki — piekła dalekie są od prawdy.

Amerikanie na ogół nie różnią się od innych narodów. Rozwój gospodarki kapitalistycznej w naszym kraju w niezwykłe po myślnych okolicznościach uzależniony od szeregu ekonomicznych, politycznych i społecznych czynników umożliwił naszym narodowi osiągnięcie stosunkowo wysokiej stopy życiowej; nie znaczy to jednak, że nie ma u nas nędzy, niepewności: jutra i kontrastów społecznych. Znana wypowiedź Roosevelta: „Je dła trzecia naszego narodu jest źle odżywna, że ubrana i znajduje się w złych warunkach mieszkaniowych” dowodzi, że Ameryka nie jest rajem przynajmniej dla „jednej trzeciej narodu”. Co do pozostałych dwóch trzecich ludności U. S. A., to większość narazona jest stale na obawę utraty pracy w okresach nieuniknionych w ustroju kapitalistycznym nawrotów kryzysów — i na groźbę nędzy spowodowanej dłuższą chorobą lub nieszcześliwym wypadkiem, nie mówiąc już o szalonym tempie życia i pracy w dzisiejszej Ameryce, które doprowadza w rezultacie do ogólnej nerwowości cechującej wszystkie warstwy naszego społeczeństwa.

Brak ogólnego programu ubezpieczeń społecznych, który objąłby całą ludność U. S. A., zupełny brak ubezpieczeń zdrowia, wzrost uprzedzeń do mniejszości rasowych, narodowych i politycznych, skandaliczny kryzys budowlany, obniżka realnych zarobków robotników, przerażające przyspieszanie tempa produkcji i ogólnie panujące przekonanie, że katastrofa ekonomiczna jest nieunikniona — oto czynniki, które z pewnością nie przyczyniają się do szczęścia i „prosperity” kraju.

Przede wszystkim nie uspokaja mieszkańców Ameryki codzienne przekonywanie ich przez płatnych rzeczników monopolistów i znaczących osobistości w rządzie, że wojna z Z. S. R. R. jest nieunikniona. W kampanii tej bierze udział radio, film, prasa, przedstawiciele kościoła, wychowawcy. O wojnie z Z.S.R.R. mówi się otwarcie i bez skrępowania. Skomercjalizowane radio, prasa i ekran są na usługi kramarzy wojny i ich zauszników. Nie ma prawie żadnego zebrania na obszarze U. S. A., którego nastroj ideowy i ogólna atmosfera nie byłaby związana z zagadnieniem niebezpieczeństwa komunizmu i nieuchronną wojną ze Związkiem Radzieckim. Monopolisci przy pomocy zaprzędanej im prasy, radia i filmu prowadzą prawdziwą wojnę nerwów i usiłują przekonać naród o konieczności wojny z Rosją. Ustawiczne podsycanie historycznego stosunku do wszystkich postępów, których nazywa się „komunistami” osiągnęło takie natężenie, że Henry Wallace stwierdził ostatnio, iż nastroj panujący dzisiaj w Waszyngtonie bardzo przypomina atmosferę Berlina z czasów przewrotu hitlerowskiego. W tym samym czasie, gdy Truman wygłasza piękne słowa o pokoju i dobrej woli podważa mi urzędnicy i kierownicy administracyjni otwarcie nawołują do wojny z Z.S.R.R.

Robotnicy amerykańscy wspólnie z farmerami i warstwami średnimi zaczynają się jednak zastanawiać nad problemem niezdrowego systemu ekonomicznego, który ponosi odpowiedzialność za dwie krwawe wojny w ciągu jednej generacji i za światowy kryzys ekonomiczny. Dzisiaj szary człowiek w Ameryce zapytuje coraz częściej: „Dlaczego mówimy o wojnie, gdy chcemy pracy i pokoju?”

Wśród członków Zw. Zawodowych (Trade Unions) w Kalifornii, z którymi pracowałem ostatnio przez kilka lat — bezpośrednie niebezpieczeństwo, które widzą robotnicy, to zbliżający się kryzys ekonomiczny wraz z towarzyszącą mu obawą głodu, niepewnością jutra i demoralizacją. Na początku r. 1947 w okręgu Zatoki San Francisco (S. F. Bay), który liczy nieco ponad milion mieszkańców — było powyżej 90.000 bezrobotnych. Według oficjalnej statystyki CIO z początkiem r. 1947 było w U. S. A. ponad 5 milionów bezrobotnych — bez nadziei poprawy tego stanu w przyszłości. Moi koledzy ze Zw. Zawodowych słabo orientujący się w zagadnieniach politycznych zapytywali mnie niejednokrotnie: „Dlaczego musimy mieć konieczność wojny i zniszczenia, by otrzymać stałą pracę?”

Amerikanicy zwolennicy wojny pamiętają dobrze rewolucyjne nastroje 15 milionów bezrobotnych w r. 1929, którym omal, że nie

udało się dokonać przewrotu w najsilniejszym państwie kapitalistycznym świata. Amerykańscy monopolisci wiedzą również, że cienie zbliżającej się katastrofy zaczynają się pogłębiać i naród nasz niepokoi się. Amerykańscy monopolisci widzą — w przyszłej wojnie ratunek, który pozwoli im uniknąć groźnego przeznaczenia, lecz oko w oko z nimi stoi wojskowo zorganizowany walczący ruch robotniczy, który przeżył ramona do rozrywki z otaczającą go reakcją polityczną. Zatwierdzenie zbrodniczej ustawy antyrobotniczej Tafta i Hartley'a, podnoszące się stale ceny, które prowadzą do inflacji i wzrastające zaprzeczanie swobód obywatelskich zmusza naród amerykański do podjęcia daleko idącej akcji politycznej.

To prawda, że nasz naród jest politycznie niedoświadczony, lecz prawdą jest również, że uczymy się szybko.

Jeden z moich towarzyszy związkowych zatrudniony w Berkeley dał posłuch propagandzie monopolistów, którzy prowadzili kampanię dążącą do zniszczenia OPA (Biuro Kontrola Cen). Nazajutrz po zniesieniu tego Biura mój towarzysz wstąpił do sklepu, by kupić masło i dowiedział się, że cena tego artykułu skoczyła z 35 centów na 70 centów za funt (obecnie sprzedaje się masło po 95 c. i więcej funt). Mój kolega z Berkeley nie był przedtem przekonany o konieczności akcji politycznej. Wzrastające do niebываłych granic ceny żywności, ubrania i innych niezbędnych artykułów okazały się dobrym nauczycielem dla niego i dla milionów jemu podobnych.

Trudno będzie monopolistom nakłonić znowu naród amerykański do wiary w mit, że wolna konkurencja została ustalona przez Boga i jako taka nie może upaść.

Ja sam jeszcze jestem dumny, że jestem Amerykaninem, lecz wstydzę się reakcyjnego postępowania Trumanów, Taftów, Vandenbergów i Hooverów.

Zadaniem naszego narodu jest oczyszczenie naszego Kongresu z reakcjonistów w zbliżających się wyborach 1948 i wybranie takich przedstawicieli, którzy rzeczywiście reprezentowałyby cały naród. Musimy mieć Kongres, który postępować będzie zgodnie z wolą narodu a nie z wolą Wall Street.

Leonard Grumet.

Podatki w Wielkiej Brytanii

„Daily Worker” zamieszcza artykuł omawiający ostatnie zmiany w brytyjskich taryfach podatkowych. Na wstępie pismo stwierdza, że pomimo zwiększenia podatków „głoda nie tylko nie zareagowała baśnią ale wprost przeciwnie dało się odczuć duże ożywienie. Niektóre pisma, kontynuując „Daily Worker” — donoszą, że wzrosła ogólna suma podatkowej wnieście 170.000.000 funtów rocznie. Tak by się istotnie wydawało jeśli uwzględnić jedynie podniesienie stopy podatku od zysków. Od sumy tej należy jednak odjąć zmniejszenie wpływów z podatku dochodowego. W ten sposób wzrost ogólnej sumy podatków wyniesie zaledwie 47 milionów funtów. W roku 1946 zyski i procenty od kapitału wyniosły 2 miliardy 840 milionów funtów. Zwiększenie podatków o 47 milionów w ogóle w ten sposób nie da się odczuć. W r. b. zyski będą najprawdopodobniej jeszcze wyższe niż w roku ubiegłym. „The Economist” zamieścił tablicę s'atystyczną z których wynika, że 1.606 przedsiębiorstw i spółek wzię-



kszyło swe dywidendy w ciągu pierwszych 10-ciu miesięcy b. r. o łączną kwotę 25 milionów funtów. Spółki te sławiały jedynie część ogólnej liczby kompanii i przedsiębiorstw istniejących w Wielkiej Brytanii.

Nie należy zapominać, że podatek od zysków nie oznacza bynajmniej żadnego nowego ciężaru nałożonego na kapitalistów przez rząd Labour Party. Podatek od zysków miał zastąpić tak zwany podatek od nadmiernych zysków, który wprowadzony został na po-

czątku wojny. Tymczasem nawet po obecnym wzroście, podatek od zysków wynosił mniej niż połowę podatku od zysków nadmiernych w roku budżetowym 1946/47.

Porównajmy natomiast niewielki wzrost podatków wpłacanych przez przedsiębiorców (47 milionów funtów od zysków i 10 milionów funtów z podatku od reklam) z ciężarami nałożonymi na konsumentów. Zniesienie 33 milionowych subsydiów produkcyjnych dla wyrobów z wełny, bawełny i skóry równoznaczne jest z wprowadzeniem podatku pośredniego tej samej wysokości. Dodajmy do tego zwiększenie podatku od zakupów, podatku od napojów i od gry. Otrzymamy w wyniku 184 miliony funtów rocznie dodatkowo obciążające konsumentów brytyjskich.

Na zakończenie „Daily Worker” zapytuje: „Dlaczego wzrastają zyski, podczas gdy istnieje podobna kontrola cen?” I odpowiada: „Po pierwsze dlatego, że szereg podstawowych artykułów, jak naprz. różne maszyny w ogóle kontroli cen nie podlega. Po drugie dlatego, że jeśli gdziekolwiek następuje wzrost plac rząd pozwala jednocześnie przedsiębiorcom na podniesienie cen. Po trzecie wreszcie dlatego, że marże zysku dozwolone w ramach kontroli cen są o wiele za wysokie. Jeśli rząd naprawdę chce zwalczać tendencje inflacyjne, winien przede wszystkim zahamować wzrost zysków za pomocą skuteczniejszej kontroli cen i wprowadzić podatek od kapitału”.

„Wielkoduszna, pełna poświęceń i nie działająca metodami przymusu”

Radio Watykańskie nadało w dniu 23 b. m. wezwanie Papieża Piusa XII pod adresem Ameryki, w którym domaga się on rozpoczęcia przez Stany Zjednoczone akcji „żywności dla Europy”. Papież zwraca się w nim do ludności Ameryki używając między innymi następującego charakterystycznego zwrotu:



„Wy, ukochani synowie i córki Ameryki, jesteście pod kierownictwem swej wielkodusznej, pełnej poświęceń i nie działającej metodami przymusu władzy — awangardą armii chrześcijańskiego miłosierdzia!”

Warto zapytać murzynów z Południa, francuskich robotników i powstańców greckich, co sądzą o tym poświęceniu i wielkoduszności.

Szaletstwo w Hollywood

Dyrekcja jednej z największych amerykańskich wytwórni filmowych „XX Century-Fox” podała do wiadomości, iż w związku z badaniem przez komitet do spraw działalności antyamerykańskiej sytuacji w przemyśle filmowym, przeprowadza obecnie czyste swego aparatu od wszystkich pracowników komunistów oraz osób, które odmawiają odpowiedzi na pytania komitetu, czy są komunistami.

Podczas ostatnich „badań wpływów komunistycznych” w Hollywood przez wspomniany komitet, 10 wybitnych reżyserów i scenarzystów odmówiło odpowiedzi na te pytania, oświadczając, że t. zw. komitet do spraw działalności antyamerykańskiej jest tworem sprzecznym z konstytucją USA i nie ma prawa przeprowadzać dochodzeń w sprawie przekonań politycznych obywateli amerykańskich. Przeciwno wszystkim tym reżyserom i scenarzystom wszczęto postępowanie karne za nieważenie Kongresu USA.

Zarządzenie „XX Century-Fox” jest pierwszym echem wystąpienia czołowego producenta filmowego USA Johnsona, który w ogłoszonym przed kilku dniami apelu wezwał amerykański przemysł filmowy do oczyszczenia Hollywood z „elementów wywrotowych”.

Należy zaznaczyć, że wspomniane „elementy wywrotowe” stworzył kilkadziesiąt antyfaszystowskich filmów wojennych, przedstawia-

jących walkę z Niemcami i Japonią oraz kilka filmów o wspólnocie celów wojennych bolsuzników.

Kisiel materialistą

W jednym z ostatnich „Pod włos” Kisiel zajął się analizą „leku metafizycznego”, który jako zjawisko psychiczne, nawiedzając niekiedy także poetów, staje się często podstawą tych osobistych doświadczeń, jakie leżą u podłoża spirytualistycznego poglądu na świat. Zjawisko to Kisiel tak komentuje:

„Napisał gdzieś (nie pamiętam w tej chwili gdzie) Iwaszkiewicz o „codziennym leku przedwieczornym”. Gdzieś indziej znowu (też nie przypominam sobie miejsca) napisano mu na to, że „lek metafizyczny” czy w ogóle bezprzedmiotowy lek, „kosmiczny strach” lub smutek, to są „miodopolskie przeżytki” że to postawa już dawno przewalczona, dekadentka, inteligencka, jednym słowem — źle widziana i pozbawiona sensu. Kontrowersja ta dała mi dużo do myślenia — otworzyła mi ona oczy na fakt, że rozmaite konflikty ideologiczne, polityczne i narodowościowe można by również sprowadzić do nieporozumienia między



dwoma typami psychicznymi: między ludźmi, którzy doznają leku nawet wtedy, a właściwie zwłaszcza wtedy, gdy do tego nie ma najmniejszego, materialnego powodu, a ludźmi, którzy takiego strachu nie znają i lekceważą go — boją się zaś rzeczy tylko konkretnych: — kuli rewolwerowej, stryczka, noża czy armaty. Ludzie z pierwszej kategorii — powie wam lekarz — to ludzie chorzy na serce: tylko niedomagania serca, wady ciśnienia itp. powodują niepokój, niepewność siebie, bezprzedmiotowy lek i poczucie dotkliwej samotności!”

Przyrównując wyjaśnienie biologiczne przyczyn zjawiska do burzenia iluzji widza teatralnego, któremu tłumaczy się, że dekoracje są z drzewa i płótna, Kisiel rezonuje dalej:

„Niezależnie od tego, że przedmiotowy lek może być rezultatem po prostu „nawalania” serca, daje on człowiekowi poczucie właściwych proporcji i warunków, w jakich obraca się ludzka egzystencja; ukazuje mu empirycznie niejako kruchosc fizycznego spokoju, waskosc przegródki, jaka oddziela życie od śmierci, bezpodstawnosc materialnej pewności siebie, konieczność znalezienia jakiejś pozamaterialnej bazy”.

Ma pan wiele racji, Kisielu. Nam materialistom istotnie zawsze się zdawało, że nieuzasadnione zdrowym rozsądkiem a niewątpliwie fakty psychiczne, jeśli dają się wytłumaczyć to tylko przez naukę i dlatego trafiał nam do przekonania światopogląd materialistyczny. Nie różnimy się zatem tak bardzo. Tylko końcowe wnioski pana wydają się nam dowolne. Czemuż to chory na serce lub ogarnięty przedśmiertną trwogą ma stanowić argument przeciwko diagnozom nauki lub jej uzupełnieniu? Dlaczegoż to on ma właśnie stanowić o poczuciu właściwych proporcji? Struktury rzeczywistości nie tłumaczą przecież zjawiska z zakresu biologii, nie tłumaczy ich ani stan choroby, ani zdrowia, uzumeczone czy badacza. Dorobek myśli ludzkiej znajduje zbyt wyraźne potwierdzenie w opanowaniu przez człowieka licznych, nieznanych dawniej sekretów przyrody, zbyt jasno sprawdza swą wartość w tysiącnych zastosowaniach choćby technicznych naszego życia, abyśmy mieli zakreślać mu granice kredowym kołem niedomagania fizjologicznych. Ale jeśli pan, drogi Kisielu, przedśmiertną trwogę i „bojaźń bożą” tłumaczy jako „nawalanie serca” — to sądzimy, że jak na felietoniste organu ks. Piwowarczyka — jest to i tak bardzo wiele. Może nawet więcej niż połowa drogi.

„Pepita Jimenez”

Film Polski wyświetla obecnie z szumną reklamą film meksykański „Pepita Jimenez”. W filmie „Pepita Jimenez” postanowiono ośmić widza nagromadzeniem bzdury. Występuje tu ona pod dwiema postaciami: jawnie w dialogach oraz lekko zamaskowana w postaciach bohaterów.

W filmie tym morderca staje się najwspanialszym mężem w mieście, a wspaniałość bohaterki polega na skłonności do starych a bogatych mężczyzn i uwodzeniu księży. Nie jest do tego nawet ładna.

Jestem ciekawa, kto wpadł na pomysł zakupienia tego filmu dla polskich ekranów. Podobnego skandalu jeszcze nie było. Widz polski mimo ogniwych „prób rodzimej produkcji” nie jest przyzwyczajony do takich potworności jak „Pepita Jimenez”. Ten film deprawuje i obraża człowieka. Obraża jego estetykę. Ten film podobny jest do filmów produkowanych przez hitlerowskie Niemcy w celu oglupiania widzów. Tyle tylko, że jest jeszcze gorszy technicznie. I nie mniej bezczelny ideologicznie.

W. Z.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”. Wydawca: Zespół „Kuźnicy”
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻOLKIEWSKI
 Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
 Adres Redakcji i Administracji ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENA OGŁOSZENIA: Za 1 mm na 1 szpalcie 40 złotych.
WARUNKI PRENUMERATY:
 miesięcznie zł 80.—; kwartalnie zł 240.—; półrocznie zł 480.—; rocznie zł 960.—.
 Należność za prenumeratę należy wpłacać do P. K. O. konto VII-567 „Prenumerata Kuźnicy”.
 0-018326 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, żwirki 2.